

BIBLIOTEKA FILOMATY II

JAN PTAŚNIK

# ŻYCIE ŻAKÓW KRAKOWSKICH



# ŻYCIE ŻAKÓW KRAKOWSKICH



# FILOMATA

dwutygodnik dla miłośników literatury i sztuki. Rocznie 20 zeszytów bogato ilustrowanych 10 zł. Cena poszczególnych zeszytów 50 gr. Konto PKO 155.051.

## BIBLIOTEKA FILOMATY

jest zbiorem bogato ilustrowanych monografij, napisanych przez najwybitniejszych fachowców wzgl. literatów, a wskutek niskiej ceny dla wszystkich przystępnych. Cena tomu 3.60 zł (dla abonentów czasopisma Filomaty cena tomu 2.85 zł.)

1. Ludwik Hieronim Morstin, Ecce Poeta! (Quintus Horatius Flaccus);
2. Marja Waser, Święta Droga. Myśli o Helladzie (autoryz. przekład z niemieckiego);
3. Kazimierz Bulas, Keramika grecka;
4. Paul Bourget i i., Dobosz (zbiór nowel);
5. Edmund Bulanda, Etruskowie i etruskologia;
6. Kazimierz Majewski, Kultura egejska;
7. W. Auerbach, Podręczna biblioteka filologiczna;
8. Zofja Schulbaumówna, Przedstawienia szkolne dramatów klasycznych;
9. Wincenty Ogrodziński, Publius Vergilius Maro;
10. Zofja Schulbaumówna, Anna Memorata, dziewica polska;
11. Jan Ptaśnik, Żacy krakowscy;
12. Walka o humanizm (Baldwin, Coolidge, A. France i i.);
13. Zygmunt Reis, Gawędy legjonowe;
14. Marjan Auerbach, Dzieje matematyki;
15. Ryszard Ganszyniec, Dzieje wróżbiarstwa;
16. Lidja Winniczukówna, Kobieta w starożytnej Grecji i Rzymie.

Do nabycia w Administracji Filomaty, Lwów, ul. Potockiego 20

JAN PTAŚNIK

ŻYCIE ZAKÓW KRAKOWSKICH





*klas:  
zyc.*

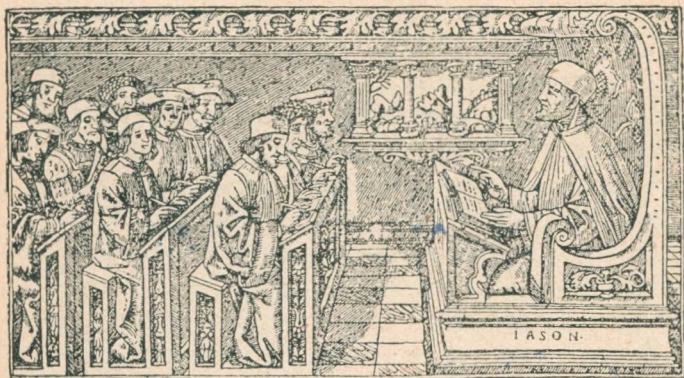
*8-4*

*~~1567~~*



93000

**SN** 17610



## I. MIESZKANIA

Wszystkie uniwersytety średniowieczne wzorowały się na uniwersytetach włoskich i francuskich, szczególnie zaś na bolońskim i paryskim, one bowiem cieszyły się największą powagą. Urządzenie obydwóch było wręcz przeciwne. Urządzenie uniwersytetu bolońskiego, posługując się dzisiejszym słownikiem, moglibyśmy nazwać republikańskim, paryskiego oligarchicznym. W Bolonji bowiem na czele stał rektor, wybierany przez uczniów i spośród uczniów, uniwersytetem paryskim rządziło kolegium profesorskie z rektorem, spośród siebie wybieranym, na czele. Oprócz tej zasadniczej było wiele innych różnic mniejszych, do nich należał i system mieszkań. W Bolonji był system hospycjalny, to znaczy,

że studenci i profesorowie mieszkali w prywatnych mieszkaniach, w Paryżu zaś już bardzo wczesnie, bo w drugiej połowie XIII w., zakwitnął system kolegjalny. Były to domy uniwersyteckie, fundowane przez ludzi pragnących przyjść w pomoc i profesorom i ubogim uczniom. W Bolonji kwitnęły studja prawnicze, w Paryżu teologiczne. Kazimierz Wielki, w ustawicznych sporach z Krzyżakami, Czechami itd. potrzebował prawników, to też było powodem, że do swego uniwersytetu zaczerpnął wzoru z Bolonji i wszystkie urządzenia uniwersytetu bolońskiego przeszczepił na grunt polski, a zatem także i ów hospicjalny system mieszkań. Nie danem jednak było Kazimierzowi urządzić zupełnie uniwersytet, już w kilka lat bowiem umarł.

Myśl wielkiego króla podjął Jagiełło. Ale warunki zmieniły się; gdy przedtem Kazimierzowi potrzeba było prawników, to teraz, gdy niedawno przyjął chrzest naród litewski, potrzeba było przede wszystkim teologów. I to jest znowu powód, że Jagiełło zwraca się po wzór tam, gdzie szczególnie kwitnęły studja teologiczne, do Paryża. I znowu urządzenia paryskiego uniwersytetu wraz ze swemi kolegjami i bursami wstąpiły na ziemię polską. Wnet też w XV w. powstają u nas liczne bursy i kolegja, w których profesorzy i znaczna liczba uczniów mogła znaleźć pomieszczenie.

Oprócz burs i kolegjów również i szkoły parafialne dostarczały mieszkań studentom. Do szkół tych garnęła się przede wszystkim młodzież niedorośła, ale mogli tu mieszkać i studenci uniwersyteccy.

Z początku wolno było uczniom mieszkać po hospicjach, jednakowoż nie były już one takie same, co w uniwersytecie kazimierzowskim, nie były mieszkaniami z urzędu, ale mieszkaniami prywatnymi, stancjami w znaczeniu dzisiejszem. Później, kiedy w ciągu XVw. powstał cały szereg kolegjów i burs tak, że w połączeniu ze szkołami parafialnymi mogły pomieścić całą młodzież kształcąca się, uniwersytet nakazuje mieszkać tylko w tych trzech rodzajach mieszkań, hospicja wyłącza.

Pierwszą taką ustawę wydano w r. 1491. Zakazano nią studentom bezwarunkowo mieszkać po



Założenie uniwersytetu Jagiellońskiego. Drzeworyt z w. XVII, naśladowujący płasko-rzeźbę z w. XV w gab. ryc. w Bibliotece Jagiellońskiej. Na lewo Jagiello z Litwinami, na prawo Jadwiga z Polakami.

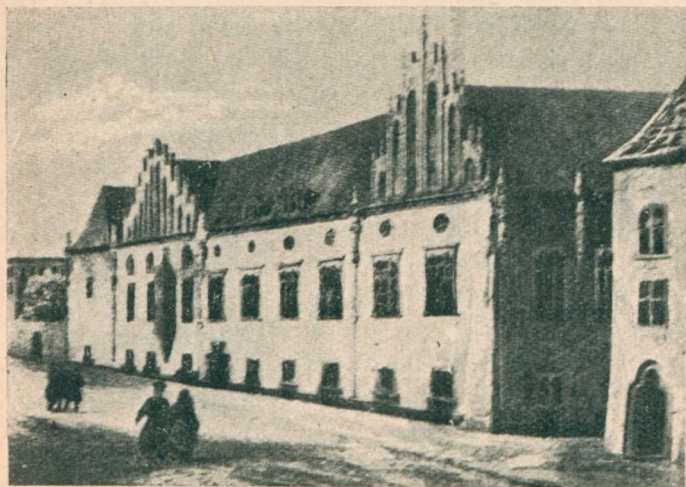


prywatnych domach, tak w Krakowie, jak niemniej i na przedmieściach, na Kazimierzu i Kleparzu. Nawet chociażby rodzice ucznia mieszkali w mieście, nie miało być wolno uczniom przy nich mieszkać, chyba za zezwoleniem rektora. Tak samo miała się rzecz i z synami magnatów. Wolno im było mieszkać prywatnie, ale musieli mieć przy sobie jako stróża obyczajów i pomocnika w naukach jakiegoś magistra lub przynajmniej bakałarza. Zresztą wszyscy inni studenci obowiązani byli bezwarunkowo mieszkać w bursach i szkołach, najdalej w ośm lub co najwyżej w dwa tygodnie po wpisach mieli się wykazać, w których bursach mieszkają. Gdyby bowiem wbrew rozkazowi rektora, wbrew ustawie, mieszkali gdzieś prywatnie, w takim razie urząd radziecki, tak krakowski, jak i przedmiejski, obowiązany był wypędzić nieposłusznych z miasta „jako ludzi bez głowy i podróżujących na morzu, bez sternika“ (*tamquam acefalos et sine remige fluctuantes*).

Czy i o ile ta ustawa weszła w życie, o tem dowiemy się później. Tutaj tylko nadmienimy, że nie musiała być przestrzegana, skoro ustawicznie trzeba było ją przypominać. Zresztą zdaje się, że i uniwersytet nie bardzo na to zwracał uwagę. W r. 1559 bowiem, kiedy rektor uniwersytetu Marcin Krokier nakazuje bakałarzom i studentom mieszkać tylko w kolegjach, bursach i szkołach, to nie powołuje się bynajmniej na to, że jest to ustawą nakazaną, ale jako powód podaje to tylko, że kiedy król przyjedzie na Wielkanoc do Krakowa, to dworzanie królewscy, posłowie i legaci zagraniczni nie będą

mieli gdzie mieszkać, bo wszystkie mieszkania będą zajęte przez studentów.

Czy ustawa z r. 1491 była pierwszą? Za tem przemawiałyby słowa „że odtąd i na przyszłość“ (*quod a modo et in amplius*) żaden bakałarz ni student nie ma mieszkać poza kolegiami. A przecież tak nie było. Bo oto jeszcze w r. 1468 spotykamy się z paragrafem w ustawach miasta Krakowa, w którym rada miejska bezwarunkowo zakazuje mieszkańcom w swoich domach trzymać studentów i uczniów, bo „mają mieszkać w swoich bursach“ (*sy sullen yn iren Bursen wonen*). Opornym obywatelom grozi rada karą 5 grzywien. Otóż paragraf ten wyraźnie na to wskazuje, że już dawniej, w połowie XV wieku



Collegium Maius Uniwersytetu Krakowskiego. Najstarszy gmach uniwersytetu, dziś przerobiony na Bibliotekę Jagiellońską.

nie było wolno mieszkać studentom gdzieindziej, tylko w bursach. Bo dla czegożby rada krakowska zakazywała mieszkańcom trzymać studentów na mieszkaniu?

Najważniejszym mieszkaniem dla studentów owych czasów były bursy. Poczęto je zakładać w w. XV; wnet też całe życie młodzieży tutaj się przenosi.

Jednakowoż nie wszystkie bursy są jednakie. Jeżeli się im bliżej przypatrzymy, to wyróżnimy wśród nich dwa rodzaje, bursy stałe i ruchome. Bursami stałymi nazywamy te bursy, które były stałe umieszczone w pewnym domu, umyślnie na ten cel przez jakiegoś dobrodzieja młodzieży fundowanym i uposażone w odpowiednie fundusze. Takich burs było w XV i XVI w. pięć, w wieku XVII przybyło ich jeszcze trzy. Były to bursy: Sisinię, Śmieszkowicza i Starnigielska. Pierwsza została założona w r. 1614 przez Macieja Sisiniusza, kan. wrocławskiego, dla dwunastu uczniów, sposobiących się do stanu duchownego. Druga, fundowana w r. 1646 przez prof. W. Śmieszkowicza, od nazwiska jego zwała się *contubernium Gelanianum*. Ostatnią wreszcie, największą, bo na 20 uczniów, którzy bezpłatnie otrzymywali tu stół i mieszkanie, założył infułat zamojskiej kolegiaty W. Starnigiel.

Najważniejszą i najpiękniejszą była bursa, założona jeszcze w r. 1409, zwana *bursą ubogich* (*bursa pauperum*), fundowana przez prof. teologii na uniwersytecie Jagiellońskim, ks. Jana Isnera. Znajdowała się w domu narożnym, przy ulicy Wiślniej i Go-

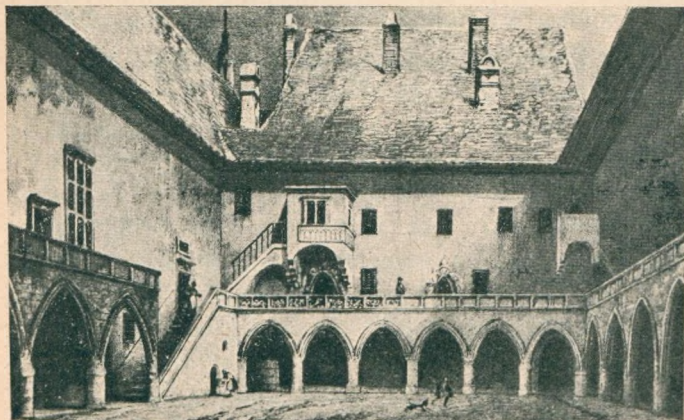
łębiej. Obok niej wielce ważną była bursa *Jeruzalem*, założona w r. 1453 przez Zbigniewa Oleśnickiego, na miejscu zwanem *Jeruzalem*; stąd jej nazwa. Ślubował on jechać do ziemi świętej, nie mogąc jednak ślubu tego dokonać, ufundował bursę. Oprócz tych dwóch burs była jeszcze *bursa filozofów*, nie wiadomo kiedy i przez kogo założona. W r. 1558 rozszerzył ją biskup płocki Noskowski przez zakupno sąsiedniej kamienicy i wyposażył znacznymi dochodami; stała ona przy ulicy Gołębiej. Przez niedługi czas, bo tylko przez 20 przeszło lat, do r. 1469 istniała jeszcze jedna bursa stała, zwana grochową. Założona ona została przez kapitułę krakowską dla ubogich prawników, była jednak za ciasną, dlatego też ustąpił ją uniwersytet napowrót kapitule wzamian za plac, w tyle kolegjum większego położony. Na jej miejsce w dwa lata później powstała inna bursa prawników, założona w r. 1471 staraniem i kosztem Jana Długosza, na ulicy Grodzkiej. Zwała się od nazwiska założyciela *bursa Longini*, albo też od zamieszkujących ją studentów wydziału prawniczego *bursą kanonistów*. Były więc dwie bursy specjalne i dwie powszechne. W bursach filozofów mogli bowiem mieszkać tylko studenci z tego wydziału, w bursie Długosza prawnicy, zaś tak w bursie Jeruzalem jak i bursie ubogich mogli mieszkać wszyscy studenci bez względu na rodzaj studjów.

Ciekawszemi od burs stałych są bursy ruchome. Nie miały one stałego miejsca pobytu ni stałych funduszów, przenoszono je z jednej ulicy na drugą, z jednego domu do drugiego. Mają one służyć ku

pomieszczeniu w swem łonie studentów pewnej narodowości, albo pewnym, specjalnym studjoni się oddających, lub wreszcie miały pomieszczać studentów, wyróżniających się pod względem majątkowym od innych. Znamy następujące bursy ruchome: bursę niemiecką, węgierską, medyków i majątnych (*bursa divitum*). Były to raczej dzisiejsze pensjonaty. Bursę taką otwierał jakiś profesor za pozwoleniem uniwersytetu i w tym celu wynajmował u niego jeden z domów uniwersyteckich. Wynajęcie takiego domu kosztuje znaczną sumę. Z domu pod bursę węgierską płaci senior Michał z Waraźdynu 14 grzywien rocznie, ale już w rok później, tj. w r. 1493, płaci zeń inny senior, Jan Sommerfelt grzywien 15, w roku zaś następnym płacą Węgrzy z tego samego domu grzywien 18, a nadto przyrzekają, że gdyby go nadal dzierżawili, to już w latach następnych będą płacić czynszu 20 grzywien. Było to więc pewnego rodzaju przedsiębiorstwem ze strony profesorów wynajmujących dom na bursę. Zresztą uniwersytet wynajmował nietylko swoje domy prywatne pod bursy, ale także mógł to robić ze samemi bursami. Seniorat w niektórych bursach zapewne przynosił znaczny dochód i dlatego uniwersytet wymaga czynszu i od seniora z bursy stałej. Bursę prawniczą w r. 1529 wynajmuje niejaki Jan Wojnarowski, pleban z Opatkowic, płaci on z niej 15 grzywien; w następnym roku Wojciech Kijowski, dziekan sandecki i kanonik warmiński, z Andrzejem Przeclawskim, proboszczem w Parszni, płacą o 1 grzywnę więcej z tem zastrzeżeniem, że w komorach

mają być umieszczani tylko studenci, notariusze (*scribae*) lub kapłani, żadną zaś miarą 'żonaci z żonami'. Widocznie i to się musiało zdarzać.

Sprawa burs niemieckiej i węgierskiej dotychczas nie jest wyjaśniona. Wiele jest jeszcze niepewności, które bodaj czy kiedy zostaną usunięte. U schyłku XV stulecia miał Jan z Głogowa w domu drewnianym za kolegium większem otworzyć bursę niemiecką. W r. 1523 bursa ta zgorzała, a na jej miejsce stanął dom murowany. W tej to bursie obok Niemców umieszczono w r. 1535 i Węgrów, wydalonych ze swej dawnej bursy na ulicy Brackiej. Zjednoczona bursa węgiersko-niemiecka występuje odtąd jako *bursa nova*. Tak mniej więcej przedstawiają rzecz o bursie niemieckiej starsi autorowie. Przedstawienie to niezupełnie dokładne. Bursa bo-



Dziedziniec Collegium Maius, obecnej Biblioteki Jagiellońskiej.

wiem nowa występuje nie dopiero po r. 1535, lub nawet w r. 1523, kiedy spaloną odbudowano, ale już w r. 1488, jako *bursa nova, noviter exstructa*. Co to była za bursa? Rzecz nam wyjaśniają *Przywileje, dokumenty i akta kolegijum większego*, przechowane w archiwum uniwersyteckiem. Według wiadomości tam zawartej dom drewniany, ufundowany przez owego Mgra Jana z Głogowa, nazywał się *bursa nova*. Kiedy został wybudowany? W każdym razie najpóźniej w r. 1488, kiedy już w tym roku spotykamy się z jej nazwiskiem. A zatem *bursa nova* powstała nie dopiero po połączeniu się Węgrów z Niemcami, ale zaraz po jej pierwszym ufundowaniu w r. 1488. Powyższa wzmianka o owej bursie mówi również, że jest ona „ufundowana przez Mgra Jana z Głogowa dla Niemców“ (*fundata per M. Joh. Glogowiensem pro Germanis*). A zatem byłaby to bursa niemiecka. Jednakowoż tylko z początku chyba samego była ona bursą czysto niemiecką. Już w parę lat bowiem spotykamy tam i nazwiska węgierskie, coby dowodziło, że i Węgrzy znajdowali tu mieszkanie.

Zresztą od początku samego to Niemcy mieszkają w bursie węgierskiej, to Węgrzy w bursie niemieckiej. Nim Niemcy otrzymali swą własną bursę z łaski Jana z Głogowa, wynajmowali ją w rozmaitych miejscach. Próbowali przedewszystkiem wyparować Węgrów z ulicy Brackiej, z domu „Mel-sztyńskich“, gdzie ci już od r. 1475 przebywali. Jakoż udało się im tego dokonać w r. 1488, bo w tym roku wynajął Jan Sommerfelt dom ten pod bursę niemiecką. Co się stało z Węgrami? Zapewne

zostali na miejscu, mieszkali nadal w bursie poprzednio swojej, dziś pod rządami Niemca niemieckiej. W r. 1491 jednak napowrót wraca bursa ta w ręce Węgrów, wynajmuje ją Michał z Warażdynu. Nie może jednak widocznie podołać ciężarowi, prosi o zwolnienie go z seniorstwa i obowiązków, do jakich się względem uniwersytetu zobowiązał — uniwersytet go uwalnia w r. 1492. Wtedy po raz wtóry arenduje bursę węgierską Jan Sommerfelt, ale już nie zmienia jej na niemiecką, lecz tylko uzyskuje pozwolenie przyjmowania do niej studentów jakiegokolwiek narodowości. I on jednak nie mógł podołać ciężarom, nie jest w stanie płacić czynszu uniwersytetowi, dlatego też, chociaż wynajął ją na lat trzy, już po roku ustępuje, a dostają swą bursę ponownie w ręce Węgrzy, którzy nie wahali się nawet podnieść czynszu uniwersytetowi o kilka grzywien. Zostają też tutaj aż do r. 1535. Dopiero, kiedy sobie ten dom przywłaszczają poczęli, „twierdząc jakoby mieli jakieś prawo posiadania go, chociaż nic do niego nie mają, uniwersytet, który dom ten, przy ulicy Brackiej stojący, za własne pieniądze nabył od sukcesorów Melsztyńskich“, usunął ich stamtąd i przeniósł do bursy niemieckiej, do owej *bursa nova*, której nazwa ta sama, pomimo lat dziesiątków, dotąd pozostała.

Co się tyczy dwóch innych burs ruchomych, bursy majętnych i medyków, nic prawie nie wiadomo.

O *bursie majętnych* kilka tylko luźnych wzmianek wspomina, z których najważniejszą jest data pierwsza z r. 1468, bo dowodzi, że już w tym czasie



bursa ta istniała. W r. 1475 dom ten przechodzi na kolegów mniejszych. Co się stało z bursą majątnych? Czy przestała istnieć? Nie wiadomo. Jeszcze we wrześniu tego roku spotykamy się z jej prowizorem, niejakim Marcinem z Krakowa.

Mniej jeszcze wiemy o *bursie medyków*. Do niedawna nawet zupełnie nie wiedziano o niej, dopiero Karbowski odkrył jej istnienie. Ale jak długo istniała, jakie było jej urządzenie, daremnie dociekać. Raz się tylko z nią spotykamy, w r. 1494. Seniosem jest jakiś Walenty, obok niego występuje jeszcze trzech studentów, którzy należą do tej bursy. Zdaje się, że i jej życie było tylko przejściowe, efemeryczne.

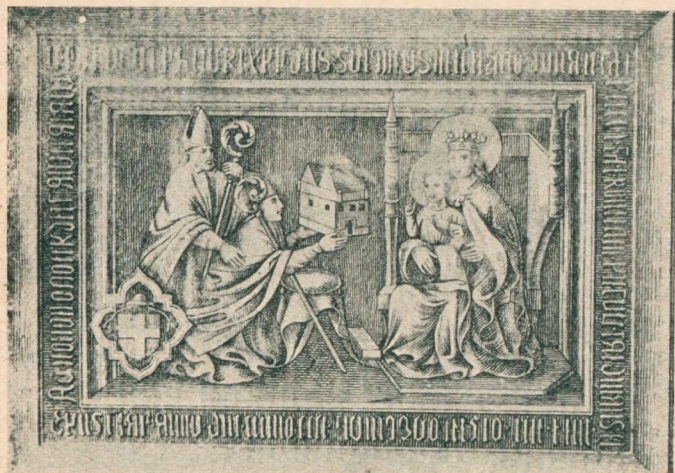
Inni przypuszczają jeszcze bursę ruchomą czeską, ale nic o niej pewnego nie umieją powiedzieć; również i Karbowski nie ma o niej żadnej wiadomości. Bursa ta prawdopodobnie zupełnie w Krakowie nie istniała. Gdyby bowiem podobna bursa była, w takim razie koniecznie jakąś wiadomość, choćby bardzo drobną, choćby tyle, co o bursie medyków, przechowałyby nam akta rektorskie. Tymczasem przez przeciąg kilkudziesięciu lat ani razu nie spotykamy jej śladu; akta rektorskie przez ten cały czas wyliczają nam zaledwie kilku Czechów, którzy mieli sprawy sądowe. I nic dziwnego, że bursy czeskiej w Krakowie nie było. Czesi bowiem, przejęci husytyzmem, nie udawali się chyba na katolickie uniwersytety, tych zaś kilku Czechów i Morawców, jakich nam podają akta rektorskie, znajdujemy w bursie niemieckiej.

A teraz, skorośmy się dowiedzieli, jakie były

bursy w Krakowie, przypatrzmy się z kolei, jakie było ich urządzenie wewnętrzne.

Miejsc daremnych było w bursach niewiele, opłaty jednak były wysokie. W bursie Jerozolimskiej co piątek płacił każdy po 2 gr. Kto w tym dniu, najdalej do wieczora, nie złożył wkładki, ten już w następnym dniu płacił o 2 kwadraty więcej, w niedzielę zaś o 3. Tyle wynosiła zwykła składka. Były jednak i składki nadzwyczajne. Gdyby bowiem te dwa grosze nie wystarczyły na potrzeby bursy, w takim razie senior w porozumieniu z konsyljarzami bursy nakładał na bursaków pewne dodatkowe składki.

W innych bursach stałych zapewne było tak samo, wszystkie bowiem ustawy burs były prawie



Fundacja Bursy Jerozolimskiej w Krakowie. Plaskorzeźba w dziedzińcu Biblioteki Jagiell. ze zniszczonej Bursy Jeruzalemskiej 1453 r. Kłęczą Zbigniew Oleśnicki.

identyczne. Marek z Ołomuńca w r. 1480 był winien do bursy ubogich 8 gr. czynszu. Zdaje się więc, że przez miesiąc nie płacił, wskutek czego uzbierała się mu suma 8 groszy.

Że w bursach ruchomych, jako pensjonatach, płacono więcej, to się samo przez się rozumie; senior bowiem takiej bursy, musiał dobrze się zwijać koło swego interesu, by i czynsz zapłacić i pupilów wyżywić i sobie jakiś dochód zapewnić.

Na czele bursy stał *senior*. Seniosem mógł być tylko student graduowany, zazwyczaj mistrz. Każdy nowowstępujący do bursy obowiązany był mu złożyć tzw. „poczesnego 6 gr.“; była to opłata od miejsca. On miał prawo przeznaczać miejsca dla nowowstępujących, dlatego też, kto chciał mieć lepsze mieszkanie, ten się starał seniora sobie pozyskać większym datkiem aniżeli wynosiło poczesne. Oprócz tego składało się opłatę wstępną. W bursie prawniczej Długosza wstępne wynosi 1 złotego, w bursie *Jeruzalem* 2 floreny.

Jakie były obowiązki seniorów, o tem najlepiej poucza nas ustawa, stosunkowo bardzo późna, bo z r. 1579, ale sądzić należy, że to, co ona powiada, istniało już dawniej; jej zadaniem jest przypomnieć seniorom to wszystko, do czego byli oddawna obowiązani. „Seniorowie burs — są słowa tej ordynacji — niech studiosom przyświecają dobrym przykładem, niech wiernie wykonywują wszystkie obowiązujące ustawy, z prywatnymi praeceptorami niech wchodzą w narady, a szczególnie baczą, by żyli (studenci) uczciwie i spokojnie tak w domu, jak

i poza domem, niech zmuszają ich do słuchania publicznych lekcyj, a dysputy wieczorne w bursach odprawiają; o zaniedbujących zaś nauki publiczne, jakoteż o nieposłusznych ustawom, niech natychmiast donoszą“.

Są oni zarazem sędziami w sprawach, wynikłych między członkami bursy. Do pomocy dodanych im jest sześciu konsyljarzy, wybranych z łona bursy, spośród studentów. Wybory konsyljarzy odbywały się dwa razy do roku, na kurs zimowy i kurs letni, w tym samym dniu, w którym wybierano rektora uniwersytetu. Wybierano według narodowości, jakie w bursach były reprezentowane. Nie wolno zaś było wybierać z jednej nacji dwóch konsyljarzy, ani też takich, którzy mieszkają w jednej izbie. Wszystkich konsyljarzy ma być sześciu; dwóch naznacza prowizor, dwóch senior, a dwóch wybiera zgromadzenie bursaków w następujący sposób: najpierw podają studenci dwóch kandydatów i nad obydwoma urządzają głosowanie; który ma największą ilość głosów, ten zostaje konsyljarzem. Następnie znowu podają dwóch kandydatów i znowu w ten sam sposób postępując, wybierają drugiego konsyljarza. Ta ordynacja wyborcza została zaprowadzona w bursie Jerozolimskiej w r. 1506. Tak obrani konsyljarze mają wraz z seniorem rozsądzać wszystkie sprawy, jakieby mogły powstać w bursie. W czasie sądów nie wolno przeszkadzać sobie w mowie ani przerywać, ale wysłuchać mowy każdego konsyljarza spokojnie do końca. Gdyby jeden drugiemu przerywał, lub też obelżywie sobie poczynał, senior nakazuje

mu milczeć pod karą 6 groszy. Senior jest przewodniczącym zgromadzenia, on też udziela konsyljarzom głosu.

Od sądu seniora i konsyljarzy jest apelacja do wyższej instancji, do prowizora. Każda bowiem bursa miała nad sobą jeszcze władzę wyższą od senior-skiej, władzę prowizora, którym był zwyczajnie profesor uniwersytetu. Nie mieszkał on w bursie jak senior, ale tylko od czasu do czasu urządzał lustracje, sprawdzał rachunki i podpisywał je, zarządzał, co było potrzeba dla bursy. Jednakowoż nic on nie mógł zrobić bez poprzedniej narady z seniorem i konsyljarzami. Nie wolno mu było np. samowolnie wykluczać z bursy studentów; od tego był senior i konsyljarze. Oni muszą najpierw odbyć sąd nad studentem, dopiero od ich wyroku może nastąpić apelacja do prowizora i wtedy on potwierdza wyrok lub kasuje. Kiedy w r. 1496 mistrz Jakób z Ilży i Stanisław z Kazimierza zostali wyrzuceni z bursy ubogich przez prowizora, odwołali się oni do rektora, którego władza rozciągała się nad wszelkimi zakładami uniwersyteckimi, a ten skasował wyrok prowizora właśnie dlatego, że prowizor postąpił sobie nielegalnie. Statuta bowiem nakazują, „że wszystkie sprawy, które wyłaniają się w bursie, powinny być najpierw przez seniora i konsyljarzy rozsądzone i dopiero, gdyby ich senior z konsyljarzami nie mógł rozstrzygnąć, mają iść pod sąd prowizora“. A właśnie w tej sprawie tego nie było, bez poprzedniego sądu seniora i konsyljarzy wykluczył ich prowizor z bursy.



Kardynał Zbigniew Oleśnicki (1385—1455), kanclerz króla Władysława Jagiełły, po jego śmierci regent Państwa Polskiego, mecenasz nauk i fundator Bursy Jerozolimskiej (obraz Jana Matejki).

Najwyższą władzą nad bursami była owa władza, która się rozciągała i nad całym uniwersytetem. Była to władza krakowskiego biskupa, jako kanclerza uniwersytetu i protektora. Do niego można się było udać jeszcze w ostatniej instancji, w razie przegrania sprawy w sądzie rektorskim.

Oprócz seniora i konsyljarzy były też w bursie i inne godności. Te dwa grosze bowiem, jakie bursacy obowiązani byli składać tygodniowo, składali w ręce osobnego urzędnika, skarbnika, który zwał się karbonistą lub kollektorem. Stanowisko jego jest wcale zaszczytne. Niewiadomo, przez kogo on jest obierany, czy przez młodzież, czy przez prowizora, czy też seniora, ale jest on uważany za przewodnika bursaków, za ich reprezentanta. To też kiedy wybucha spór między seniorem a bursą, to on stoi na czele młodzieży, on też w imieniu całej bursy zaprzysięga zgodę. Oprócz skarbnika ma jeszcze bursa swego ekonoma, szafarza (*dispensator*). On kupuje do bursy mięso i wszelkie wiktuały, on zamawia drzewo, jego też, a nie kogo innego pociąga do odpowiedzialności dostawca w razie niezapłacenia mu należności. Taki był zarząd bursy.

Służba nie była liczna. Wielu bowiem było biednych w bursie i ci sami sobie usługiwali, usługiwali też i bogatszym. Był jednak zawsze w każdej bursie kucharz lub kucharka. Kucharki te były w przyjaznych stosunkach ze studentami, którzy nawet od nich w razie potrzeby pożyczali pieniądze. Nie byli jednak rzetelnymi dłużnikami, wskutek czego nieraz sprawa wytacza się przed sąd rektorski, i tak

sprawa tajemna staje się głośną kompromitacją studenta.

Jadano dwa razy dziennie i to przy wspólnym stole. Pierwszy raz jedzono około godziny 11, drugi raz o 6. Do wspólnego obiadu obowiązani byli wszyscy bursacy stołujący się w bursie, można bowiem było stołować się i poza bursą. Przed i po jedzeniu odmawiano krótką modlitwę, przed *Gratias* niewolno było wstawać od stołu. W czasie jedzenia powinno panować zupełne milczenie i tylko jeden z żaków z podwyższonego miejsca odczytywał niektóre ustępy z Pisma świętego lub z Ojców Kościoła. Przy obiedzie miał każdy widelce i łyżki swe własne, które zawsze z sobą przynosił.

Niemąło kłopotu sprawiał porządek, w jakim miano siedzieć przy stole. O to zawsze panowały spory. Według przepisów w bursie Jeruzalem, na pierwszym miejscu mieli zasiadać magistrowie, po nich bakałarze, po bakałarzach zaś już rozstrzygał termin wstąpienia do bursy. Kto był dawniejszym jej mieszkańcem, ten wyższe zajmował miejsce przy stole, chyba żeby ktoś był kanonikiem krakowskim, lub też, jak się rzecz miała w bursie Jerozolimskiej, pochodził z tej samej rodziny, co fundator; taki bowiem miał miejsce tuż po bakałarzach.

Pomimo że sprawa lokacji przy stole była zaraz od początku założenia bursy uregulowana, przecież nieraz o to powstawały spory. Studenci bowiem dawniej zamieszkali w bursie niełatwo ustępowali nowoprzybyłym, choćby to byli i kapłani. W r. 1539 wstąpiło do bursy kilku Cystersów, kształcących się

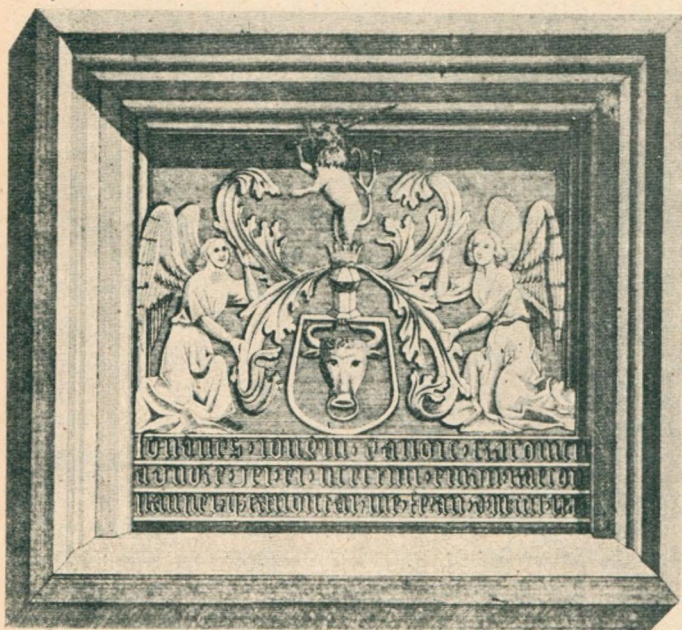


na uniwersytecie. Senior posadził ich przy stole zaraz po bakałarzach. Zważywszy, że nie byli oni kanonikami, ni actu-presbiterami, popełnił on bezprawie. To też studenci uczuli się tem mocno dotkniętymi i żadną miarą nie chcieli się na coś podobnego zgodzić. Sprawa oparła się ostatecznie o rektora. Pomimo jednak, że studenci mieli za sobą ustawę, sprawę przegrali. „Nie mało otrzymał nasz uniwersytet dobrodziejstw od zakonu braci Cystersów“, mówił rektor i wydał wyrok pomyślny dla Cystersów. Studentom zaś zagroził, że, gdyby się opierali seniorowi, to za pierwszym razem zapłacą karę kopy groszy, za drugim każdy zostanie wykluczony.

Razem ze wszystkimi bursakami przy wspólnym stole miał też obowiązek pożywać i senior bursy. Tylko w razie rzeczywistej potrzeby mógł on kazać swą porcję zanieść do swego mieszkania, nie jeść razem z bursakami; obecnym jednak przy obiedzie być musiał. I był rzeczywiście bardzo potrzebny. Nietylko bowiem, że nieraz powstawały kłótnie o miejsca, nietylko że nie przestrzegano przy obiedzie obowiązkowego milczenia, ale często właśnie wtedy przychodziło do kłótni i bitek. Jakób Luxmundi, Lwowianin, bawiący w bursie Jeruzalem, w czasie śniadania rzucił się na magistra i najpierw go zelżył ostatnimi słowy, następnie zaś schwyciwszy za łeb potężnie wykudlił. Andrzej z Głogowa w czasie obiadu kłócił się z naprzeciw siedzącym kolegą, nie zadowolniając się zaś walką na języki, schwycił swą porcję i przeciwnika w twarz nią uderzył. Oto skargi, jakie się ustawicznie w aktach re-

ktorskich powtarzają. Cóżby się dzieć mogło, gdyby seniora przy obiedzie nie było?

Bursę zamykano na noc w lecie w godzinę, w zimie w trzy godziny po zachodzie słońca. Przed zamknięciem wszyscy bursacy powinni być obecni w domu; ktoby przyszedł później, miał płacić karę (4 gr.), podwajaną do trzeciego razu. Gdyby zaś jeszcze i po raz czwarty przyszedł zapóźno, „niech będzie wykluczony jako parszywa owca“, mówi sta-



Plaskorzeźba, znajdująca się na froncie Bursy kanonistów. Napis brzmi: *Johannes Longin(us) Canonic(us) Cracouien(sis) ad honorem dei et profectum studii Cracou(ensis) pauperumque Canonistarum me fecit an(no) d(omi)ni MCCCCLXXI*, tj. Jan Długosz, kanonik krakowski, mi ehwałę Bożą i ku pożytkowi uniwersytetu krakowskiego oraz ubogich studentów prawa kościelnego zrobił mię w r. Pańskim 1471

tut bursy Jeruzalem. Tem cięższa musiała być kara na tych, którzyby w bursie nie nocowali, ale gdzieś-indziej poza bursą; przestępca taki za pierwszym razem miał zapłacić 6 gr., za drugim 12, za trzecim 18, a gdyby mu się to jeszcze pò raz czwarty przygodziło, czekało go wykluczenie „bez miłosierdzia“. Surowo też miano karać i takich, którzyby przyszli po zamknięciu bramy i w nią lub też do mieszkania seniora gwałtownie stukali.

Czy ustawy przestrzegano? Ustawiczne powtórzenie ustaw o klauzurze świadczy, że bynajmniej do nich się nie stosowano. Ciągłe wydaje uniwersytet srogie ustawy na tych, którzy przychodzą pòźno, lub też wcale nie przychodzą na noc, lecz śpią gdzieindziej, poza bursą. Akta też rektorskie najzupełniej potwierdzają to przypuszczenie. Ustawicznie spotykamy się z takimi włóczęgami nocnymi, ustawicznie ich rektor karze czy to karcerem trzech dni, odpowiadającym karze 2 florenów (można też karę więzienia zamienić na karę pieniężną), czy też jakąś inną karą. Nieraz w nocy przychodzi do bójek, już to między studentami, już też z mieszczanami czy pachołkami miejskimi, nieraz nawet przychodzi do znacznego krwi rozlewu. Za takie włóczęgostwo karze rektor raz więzieniem, drugi raz karą pieniężną. Stosownie do występku płacą studenci po wiardunku, grzywnie, a czasem wiele więcej, zwłaszcza za włóczęgostwo połączone z bójkami, z poranieniem ludzi. Ale z wykluczeniem z bursy spotykamy się bardzo rzadko, za włóczęgostwo zaś ani w jednym wypadku. Dlaczego? Z rozmaitych powodów.

Najpierw wykluczenie z bursy studenta napotykało na zawzięty opór z jego strony. Student dobrowolnie wyprowadzić się nie chciał. Jeżeli został skazany przez seniora i konsyljarzy na wykluczenie, zawsze się odwoływał do sądu rektorskiego. Sam senior bez konsyljarzy nie mógł wykluczać, konsyljarze zaś, toć przecież również studenci, musieli więc stawać w jego obronie, jeżeli tylko to było możliwem, jeżeli przestępstwo nie było zbyt krzywdzącem. Wykluczył senior sam, bez narady z konsyljarzami, to wyrok był nieważny, rektor go zawsze za taki uznawał. Zresztą i seniorowie nie byli bez winy; i oni często się włóczyli nocami po szynkach, dlatego też w poczuciu swej winy woleli raczej żyć w zgodzie ze studentami.

Życie żaka w bursie, ograniczone wszelkiego rodzaju przepisami, jest życiem klasztoruem. Nam, patrzącym na nie z odległości kilku wieków, wydaje się zbyt ciężkiem; ta klauzura surowa, te różne przepisy, ograniczające swobodę człowieka, czynią nam ówczesną bursę posępną, życie w niej monotoniem i ponurem, z niesmakiem patrzymy na jej obraz. Te przepisy klasztorne burs i młodzieży wydają się nam sekaturą ze strony profesorów, którzy zapomnieli o swej młodości. Krępowali oni uczniów, sami używając najrozleglejszej swobody. Takie nam przychodzą myśli do głowy na widok tych ograniczeń — podejrzenia z gruntu fałszywe. Profesorowie bowiem musieli uczniom w życiu całym świecić przykładem, musieli być dla nich wzorem moralnego prowadzenia się. To też prawie te same przepisy,

które się odnosiły do burs, odnosiły się również i do mieszkań profesorskich, do kolegów. Podobnie jak uczniowie, i profesorzy także wcześniej mają już być w kolegium, bo w trzy godziny po zachodzie słońca je zamykano. Wprawdzie, jeżeli nadszedł później i pukał, to go wpuszczano, „by nie powstał z tego większy skandal“, ale również musiał płacić karę; nie wolno też było profesorom odwiedzać szynków ni innych domów „nieuczciwych“. Co więcej, nawet rozmowa z kobietą, choćby w najprzyzwoitszym miejscu, uchodziła za występki; tak było w kolegium większym. Nocować poza kolegium było wzbronione; bez względu na to, czy to było przyzwoite miejsce, czy też nie, płacił przestępca karę; z tą tylko różnicą, że, jeżeli nocował w miejscu przyzwoitem, płacił 1 gr., jeżeli zaś w miejscu nieprzyzwoitem, kopę groszy. „A gdyby piętno niesławy na się ściągnął i nie oczyścił się, jako niecny i zgniły członek od towarzystwa i kolegium profesorów niech będzie odcięty“.

Obok burs urzędowym mieszkaniem dla studentów były kolegia i szkoły. W kolegiach bowiem zawsze się znalazły jakieś wolne mieszkania, gdzieby profesor mieszkać nie mógł, a gdzie przecież biedak z wielką wdzięcznością mógł znaleźć dla siebie umieszczenie. Takie mieszkania przeznaczano dla studentów. Zawsze bowiem profesorzy i samo kolegium potrzebowało służby, a ubodzy studenci mogli być używanymi za służących, spełniać wszystkie ich powinności. Rozróżniano dwa rodzaje żaków po kolegiach: żaków servitorów i gracjalistów. Servitorzy

obsługiwali profesorów, zamieszkałych w kolegium. Dostawali oni od kolegium część wiktów i wolne mieszkanie, drugą część wiktów otrzymywali od profesorów, których obsługiwali. Jadali przy osobnym



Jan Długosz (1415-1480), znakomity dziejopisarz XV wieku, wychowawca synów króla Kazimierza Jagiellończyka i fundator bursy kanonistów (*bursa Longini*).

stole, sami sobie przytem kolejno usługując. Gracjaliści różnili się tem od seniorów, że za mieszkanie płacili i mogli się stołować razem z profesorami. W tym też celu płacili wkładki, podobnie jak profesorzy. W kolegjum mniejszem do r. 1557 wynosiła wkładka tygodniowa po  $5\frac{1}{2}$  gr., od tego roku miała wynosić gr. 7, a nadto 54 gr. na obydwie kursy, na różne potrzeby kolegjalne, jak opał, meble, obsługa itd. Gracjalista, pragnący się stołować wspólnie z profesorami, musiał się przedstawić publicznie wszystkim profesorom i ci dopiero decydowali o jego przyjęciu. Byli też gracjaliści, którzy się nie stołowali w kolegjum, ale tylko mieli tam mieszkanie, za które płacili po 2 solidy co piątek i tem się różnili od servitorów, którzy mieli i wikt i wolne mieszkanie wzamian za usługę. Mieszkali razem ze servitorami. Mieszkania zaś servitorów w początkach wieku XV były bardzo nędzne; mieścili się oni gdzieś po sieniach i gankach, aż wreszcie uniwersytet w r. 1446 wystąpił przeciw temu, nakazał profesorom umieszczać ich w swoich mieszkaniach. W kolegjum mniejszem mieszkania ich znajdują się na poddaszach, ponad mieszkaniem profesorów. Mieszkania te musiały być zimne, tembardziej, że prawdopodobnie pieców nie miały. Tak było w Niemczech, gdzie opalano tylko sałę wspólną, w której się odbywały obiady i ćwiczenia naukowe. W Krakowie, w bursie ubogich, nie wolno było mieć po komorach ognia, zapewne odnosiło się to do opalania komór. Obok mieszkań servitorskich również na poddaszach umieszczano karcery, niezbędne w owych czasach do powściągnięcia swawoli studentów.

Trzecim zbiornikiem studentów były szkoły parafjalne. Tutaj bowiem obok nauki otrzymywało się również i mieszkanie, a czasem i wikt za niewielką dopłatą. Szkół było w Krakowie dwanaście. Przy kościele św. Anny, Katedralna, przy kościele Bożego Ciała, u św. Florjana, u św. Jadwigi, św. Jana, Marjacka, u św. Mikołaja, u Wszystkich Świętych, u św. Ducha, na Skałce i przy parafji św. Szczepana. Znajdowała się tu po większej części młodzież do tych szkół uczęszczająca, ale mieszkali i studenci uniwersyteccy; mieli oni nadzór nad żakami. Po ukończeniu szkoły parafjalnej można było zostać pisarzem, a nawet po pewnej praktyce i księdzem. Przełożony szkoły był jej zarazem nauczycielem i seniorem, zwał się *rektor*. Był nim zazwyczaj graduowany student uniwersytetu, a jako taki nie mógł spełniać należycie swych obowiązków nauczycielskich. Rektorstwa swego nie uważał taki student za cel kariery. On dążył wyżej, do profesury na uniwersytecie i bogatej kanonji, rektorat w szkole parafjalnej był tylko pierwszym szczeblem w jego karierze duchowej i naukowej, uważał go za środek do celu, nie zaś cel sam, stąd nie mógł wszystkich sił swych wlewać w ten zawód.

Studenci ze szkół parafjalnych obowiązani byli do służenia kapłanom przy mszach, procesjach, pogrzebach, sprawując funkcje kościelnych. Wiktować się mogli już to w szkole u rektora, już też jako „biedni żebrzący“ (*pauperes mendicantes*) w mieście. Za wikt w szkole płacili rektorowi pieniędzmi, lub też, jeżeli rodzice uczniów mieszkali niedaleko od

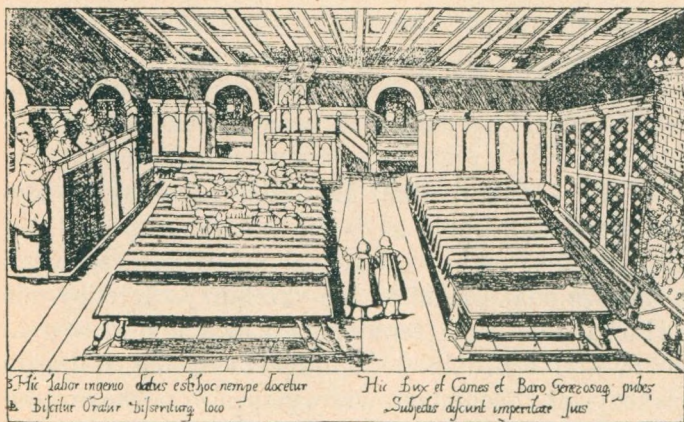


Krakowa, w takim razie przysyłali synowi wiktuały. Często się zdarza, że żak ukończy szkołę parafjalną, lub dostanie się do bursy, a rektorowi pozostanie jeszcze dłużnym za utrzymanie.

Rektorat w szkole parafjalnej otrzymywali, jak wyżej wspomniano, graduowani studenci uniwersyteccy. Było to dla nich niejako rodzajem stypendjum, pomocnem w dalszych studjach. Pobierali oni od żaków wstępne (*introitales*), drzewne i inne opłaty. W w. XV i XVI nie należało się już właściwie żadnej opłaty dawać rektorom, nie dawali też jej ci, co o tem wiedzieli. Tylko dobrowolne opłacenie wstępu było ważnem. Zresztą w rozmaitych szkołach były rozmaite zwyczaje. W szkole św. Anny wstępne wynosiło 1 gr., zaś w szkole mariackiej w XIV w. uczniowie nietylko że dawali po 2 gr. na drzewo, ale nawet opłacali swych nauczycieli, tak kierownika, jak jego pomocników, zastępcę, kantora i kaligrafa.

Pomimo, że ustawy uniwersyteckie ustawicznie nakazywały mieszkać li tylko po bursach, szkołach i kolegjach, przecież bynajmniej nie są one ściśle przestrzegane. Od samego początku mieszkają studenci prywatnie, już to za zezwoleniem rektora, już też nawet bez jego zezwolenia. Uniwersytet patrzy na to przez palce, zwłaszcza, jeżeli bursy były pełne. Według ustawy wolno było mieszkać prywatnie tylko synom rodziców miejscowych i synom magnatów i to za pozwoleniem rektora. Ale nie oglądano się na ustawy. Bogatsi bowiem woleli sobie najmować mieszkania, w których mogli mieszkać nawet

„senatorowie królestwa, dworzanie króla Jegomości, jak niemniej posłowie obcych państw“, aniżeli mieścić się po ciasnych komorach bursalnych, ubodzy zaś równie może tanie mieszkanie mogli znaleźć u różnych rzemieślników, szewców, stolarzy, czy piekarzy, a nadto mieli tu większą swobodę, aniżeli w urządzonych po klasztorne bursach, szkołach czy kolegiach. Zadowolnili się oni i wspólnem mieszkaniem z rzemieślniczą rodziną, a i rodzice ich byli z takiego mieszkania syna zadowoleni; jeżeli bowiem mieszkali w pobliżu Krakowa, to zasilali go rozmaitemi wiktuałami, wskutek czego mniej się im zdawało kosztownem utrzymanie syna. Takie mieszkanie u rzemieślnika mniej może kosztowało, aniżeli nawet życie w bursie. Bo kiedy pewien student,



5. *Hic labor ingenio datus est hoc nempe docetur  
 & dicitur Orator dicitur loco*

*Hic Lux et Comes et Baro Genosag. pudes  
 Subjectus dicitur imperitiae suis*

Dysputa w Collegium illustre w Tübingen z r. 1589 (miedzioryt Ditringera w Muzeum germańskim w Norymberdze).

Adam Brzozowski, prosi rektora o pozwolenie mieszkania u niejakiego Słoniny na ulicy Grodzkiej, to wyraźnie powiada, że chce tam mieszkać „z powodu tańszego utrzymania i oszczędzenia“ (*propter levio-rem victum et impensam*). Zdaleka też rodzice uczniów przyjeżdżają do Krakowa i przywożą im rozmaite wiktuały, bo nawet od Sanoka. Nic też dziwnego, że rektor na mieszkanie w takich warunkach patrzył przez palce, pozwalał i biedniejszym mieszkać prywatnie. Żądał on tylko od gospodarza, by za takiego ucznia zaręczył, że jest dobrych obyczajów, że nie jest rozpustny, zuchwały, nie włóczy się w nocy po mieście. Gdyby na coś podobnego ów student sobie pozwalał, natychmiast gospodarz obowiązany jest o tem donieść rektorowi. Nie pozwalał on mieszkać tylko w takich miejscach, które uważał za podejrzane, a również nie otrzymali pozwolenia na mieszkanie poza bursą i tacy uczniowie, którzy nie stosowali się do przepisów o ubiorach i broni, ale chodzili publicznie z bronią i w zakazanych strojach.

W razie wypadku, że uczeń mieszkający prywatnie począł sobie za wiele pozwalać, począł żyć niemoralnie, rektor nakazywał mu wyprowadzić się z mieszkania, przenieść się do bursy. Jeżeliby nie usłuchał wezwania rektorskiego, w takim razie rektor wysyłał bedela do burmistrza, a ten z urzędu nakazywał gospodarzowi wyrzucić opornego studenta z mieszkania, pod grozą ratusznego więzienia. Na mocy zaś przywilejów, nadanych uniwersytetowi przez królów, burmistrz musiał być powolny

żądaniom rektora. Był to już środek ostateczny, ale i do niego musi się czasem rektor uciec. Co więcej, kiedy zostanie student wykluczony z bursy, to aby tem większą poniósł karę, żąda rektor od burmistrza, by go nikt nie przyjmował na mieszkanie — wtedy bowiem stawał się *vagus*, włóczęgą, a jako taki zostawał bezwarunkowo wypędzony z miasta, a tem samem i z uniwersytetu. Taka kara spotkała w roku 1507 studenta Ambrożego z Wrocławia, który zawsze „uzbrojony z bronią chodził“, kiedy wszczął jakieś gwałtowne kłótnie z seniorem bursy ubogich, Marcinem z Leżajska.

Czy gospodarze donosili kiedy na studentów u nich mieszkających do rektora, jak się on tego domagał? Zdarzało się i to, ale bardzo rzadko. Musiała to już być sprawa większa, np. jeżeli student rzucił się na niego, lub na jego żonę. Takiego studenta wprost oskarżał przed rektorem. Znajdowali się bowiem i tacy, którzy i na kobietę się targnęli i cały dom chcieli zburzyć. Pewien student wszczął raz w mieszkaniu prywatnem taką burdę, że dobywszy miecza, tak począł nim dzielnie władać, że piec kaflowy wartości 3 flor. zburzył, gospodynię, która go błagała o spokój, mieczem zranił, a studentowi inni, aczkolwiek także uzbrojeni, nie odważyli się stawić mu czoła, lecz rozbiwszy okno ze szkła weneckiego, przez nie uciekli przed rozwścieklonym bojownikiem. Nic dziwnego, że gospodyni, poszkodowana na mieniu i zdrowiu wezwała awanturnika przed sąd rektorski.

A teraz przypatrzmy się, przez kogo były bursy zamieszkane.

Początkowym ich celem było przyjsie z pomocą ubogim, oni też po większej części je wypełniali. Kiedy jednak liczba burs wzrosła tak, że mogły pomieścić prawie że cały ogół młodzieży, wtedy w bursach także i bogaci znajdują miejsce, owszem obowiązek nakazuje im mieszkać w jednym z trzech rodzajów mieszkań ustawą przepisanych. Dlatego też niesłusznie sądzi Karbowski, twierdząc, że w bursach mieszkali tylko ubodzy synowie chłopów, mieszczan i szaraczkowej szlachty. W bursach bowiem spotykamy nawet bardzo bogatych studentów, spotykamy tam takiego Łazarza Jeduath, który pomimo, że jest kamienicznikiem krakowskim, tak bogatym, że może pożyczać znaczne sumy, bo nawet 500 flor., pomimo, że ma krewnych w Krakowie, przecież u nich nie mieszka, lecz w bursie. Tylko miejsca bezpłatne zajmowane były przez rzeczywiście ubogich. Spotykamy się też z młodzieżą, przebywającą w bursach jak i szkołach, która może sobie pozwolić na zbytek chowania koni dla przyjemności, spotykamy się ze studentami, którzy utrzymują servitorów, których stać na wysyłanie gońców do rodziny daleko, bo nieraz na odległość kilkudziesięciu mil. O kanonikach i różnych praebendariuszach, mieszkających w bursach, już nie wspominamy. W bursach ruczonych mieszkała młodzież tylko bogatsza, ubodzy znajdowali się tutaj tylko jako servitorzy. W czasie nauk i ćwiczeń żaden z nich nie śmiał się odważyć usiąść na ławce, ich miejsce było pod piecem na tzw. przypiecku (*in inferiori circumferencia jorncis*). Tu mają siedzieć w milczeniu i przysłuchiwać się. Je-

żeliby byli niespokojni, opuszczają natychmiast salę; w razie oporu dostają różgi.

Jednakowoż za cobądź bić servitorów nie było wolno. Młodzież uboga, bez utrzymania musiała się garnąć nawet do tak nędznego stanowiska posługacza u kolegów, bo to jej dawało jakie takie utrzymanie. Studenta bowiem posługacza obowiązana była utrzymywać ta komora, którą on obsługiwał; ze swych porcyj wydzielali studenci pewną część dla niego.

Ilu studentów mieszkało w bursach? Trudno wiedzieć. W bursie ubogich było miejsce na 200 studentów, w bursie Jeruzalem na 100, w bursie Długosza również na 100, w bursie filozofów zaś na 40. Czterechstu więc do pięciuset uczniów mogły pomieścić bursy stałe. Bursy ruchome mieściły w sobie tylu, ilu się zgłosiło.

Czy zawsze jednak bursy były pełne? Zdaje się, że w XV i w początkach XVI w. mniejwięcej były zapełnione, zważywszy obowiązkowe mieszkanie w bursach, a nadto i ze względu na tę wielką ilość studentów, jaka się garnała do Krakowa w tych czasach na uniwersytet. W bursie Jerozolimskiej wszystkich izb mieszkalnych było 50. Biskup krakowski Zadzik w r. 1640 zmniejszył ich liczbę do 30; mieszkać w nich miało tylko 50 studentów. Dawna bowiem bursa „obleciała, niemasz, ktoby poprawił“. Z tego wnosić należy, że w końcu w. XVI nie była już bursa pełną, skoro uznano za stosowne zmniejszyć liczbę izb mieszkalnych i liczbę członków bursy.

A teraz pozostaje nam jeszcze tylko zastanowić się nad znaczeniem mieszkań przepisowych, a w szczególności burs, dla moralności uczniów.

Zdania uczonych są podzielone. Większość uczonych zagranicznych potępia instytucję burs. Meiners powiada, że nie były one szkołami cnoty i pilności, ale raczej niecnoty, były domami rozpusty. Paulsen nie wierzy w to, by bursy rozsiewały rozpustę, owszem sądziłby, że było zupełnie przeciwnie, ale przyznaje, że na poparcie tego twierdzenia trudno znaleźć dowodów. Denifle znowu wysławia system bursalny. U nas pisali o bursach Muczkowski, Szujski i Karbowski. Tak Muczkowski jak i Szujski w zupełności je potępiają, jako źródło i siedlisko wszelkiej rozpusty i występków. Karbowski znowu idzie w ślady Denifle'a, gorąco broni moralności dawnych żaków, z większą siłą dowodów i z większym niemal skutkiem, niż sam Denifle. Mówi on, że nie można z tych niewielu zapisek sądowych, odnoszących się do poszczególnych studentów, sądzić o moralności wszystkich. Zapisek tych zresztą jest tak niewiele — ledwie parę na parę lat. Ówczesna też opinia publiczna oświadczała się za bursami; występowano przeciw burdom studenckim, a jako środek na nie widziano bursy.

I rzeczywiście, na podstawie samych aktów sądowych trudno robić wnioski o moralności uczniów. Już sam charakter źródeł przeciwko temu przemawia. Nie szukamy tu przykładów pracy, cnót i poświęcenia, ale przestępstw i zbrodni wszelakich; chcąc zaś przedstawić moralność uczniów w owych

czasach, należałoby zestawić ich dobre strony ze złemi. A to jest niemożliwe. Bo cnota, praca i poświęcenie zawsze pozostają w ukryciu, rzadko pamięć o nich przechodzi do potomności — nie mamy więc czego przeciwstawić przykładom na niemoralne postępowanie młodzieży. Ale przykładów tych jest tak niewiele, że, jeżeli możemy z nich o moralności ówczesnych uczniów jakie wnioski wysnuwać, to tylko dodatnie. Moralność ta miała upaść dopiero później, gdy profesorowie nie potrafili już zainteresować młodzieży nauką. Stało się to głównie w wiekach następnych, w w. XVII i XVIII, a upadek poziomu moralnego objawiał się w corocznie prawie powtarzających się wielkich burdach ulicznych i rabunkach, jak niemniej w postaci wyrafinowanej rozpusty. Przykładów na to nie brak w samych aktach rektorskich i aktach archiwum miasta Krakowa i kronikach współczesnych.

W w. XV i XVI jeszcze tego nie było: Dlaczego? Czy może, że na straży moralności studenckiej stały bursy? Nie sędzę. Wszak one i później istniały, a nawet liczba ich się zwiększyła. Gdybyśmy zaś chcieli bursom przypisywać taki wpływ dobroczynny, musielibyśmy znowu zestawić moralność uczniów w bursach z moralnością uczniów mieszkających prywatnie. A właśnie prawie wszystkie przekroczenia moralności, szczególnie najdrażystyczne, spotykamy w bursach lub szkołach. Nie ich więc zasługą wyższe umoralnienie uczniów w tych czasach, ale wysokiego poziomu nauki na uniwersytecie i wykształcenia profesorów. Uczeń przybywał na uni-



wersytet krakowski z dalekich stron nawet, zwabiony jego sławą, rozgłosem sławnych imion profesorów. Gdy ta sława zagasta, gdy w miejsce nauki i wykształcenia „wysoki wzrost i objętość przyprószona siwizną“ zalecała kandydatów na profesorów, którzy następnie „często chorym żołądkiem, często bólem głowy lub chorobą, częściej przyjaciółmi się zastawiając, gorące umysły młodzieży w postępie hamowali“, to wtedy te gorące umysły musiały szukać gdzieindziej upustu dla siebie i znalazły go w uprawianiu wielkich burd i niemoralności.



Wnętrze szkoły w końcu XVI w. Grupy chłopców uczą się czytać, rachować i śpiewać. Nauczyciel egzaminuje z nieodstępną różgą w rękę. Po lewej stronie 'kalefaktori' wymierza chłostę chłopcu, którego przytrzymuje współuczeń (drzeworyt z r. 1592 w zbiorach Schreiberna w Potsdamie).

## II. UBIORY I STROJE

Uniwersytet wyrósł z podstawy kościelnej, nie więc dziwnego, że i charakter kościelny po późne czasy jest na nim aż nadto widoczny. Profesorowie i uczniowie to po większej części księża i klerycy, starają się też o to, by oni mieli wszędzie pierwszeństwo, starają się, by charakter kościelny uniwersytetu jak najdłużej utrzymać. Charakter ten zaś aż nadto dokładnie przebija się i w ubiorach tak profesorów jak i uczniów. Jest on najzupełniej duchowny. Ubiór żaka pospolitego służy tu za podstawę, a dopiero wyżsi stopniem studenci mają pewne dodatkowe stroje, które ich charakteryzują. Przypatrzmy się tym ubiorom.

W pierwszych czasach istnienia uniwersytetu i przez cały wiek XV, jako nakrycie głowy służyła ówczesnemu studentowi zwykła kapuca, zupełnie złączona ze suknią. Używano jednak równocześnie i czapek zwanych myckami, ze zwykłego sukna lub też z kitajki czy czamletu. W w. XVI kapuce wychodzą z użycia, czapki jednak, owe mycki (*mitra*) zostają i nadal. Na odzienie żaka składała się koszula (*interula*), obcisłe spodnie, serdak czyli kaftan z rękawami, barwy czarnej lub czerwonej; na to wszystko wdziewał tunikę, którą przewiązywał w pasie, podobnie jak to czynią dziś żydzi. Tuniki zaś były rozmaite. Były purpurowe, szare, niebieskie, zielone, brunatne, nawet żółte. Zwano je rozmaicie. I tak tunikę szarą lub z sukna barwy purpurowej zwano „dziką“, barwy żółtej dołmanem, zaś podbite futerkiem, szubami. Najtańsze jednak

były tuniki czarne ze sukna czeskiego. One też były przepisowemi i w czasie promocji składano je magistróm w podarunku. Na tuniki dzikie, jak niemniej czerwone zwane *czeczerałek*, niechętnie patrzyły władze uniwersyteckie. Tuniki te, a także i podbite futrem 'szuby' były zbytkiem, na który tylko bogaci mogli sobie pozwolić. Tunika, to strój księży, o charakterze rewerendy, często też i to miano służyło na jej oznaczenie. Gdy dołączymy do tego trepki, które student w domu zwykle zdejmował, a będziemy mieli przed oczyma żaka XV i XVI wieku. Bogatsi studenci zarzucali jeszcze na tunikę z elegancją jedwabną delię.

Długa tunika nie bardzo odpowiadała żywego temperamentu żakom, przeszkadzała im w ruchach. Widział to i uniwersytet, a uznając słuszne potrzeby młodzieży, w początkach XVI w. skrócił tuniki tak, że teraz student mógł się swobodniej poruszać. Skrócona tunika zwała się germakiem lub topieniakiem.

Zupełnie tak samo ubierali się bakałarze i magistrzy sztuk wyzwolonych. Strój bakałarzów różnił się tylko tem, że zamiast kapucy lub mycki nosili czworoboczne birety, a nadto końce rękawów u tuniki były czerwono oblamowane. Magister również odróżniał się tylko biretem od zwykłego scholarza, ale biret jego był okrągły, czem się znowu różnił od bakałarza.

Do egzaminów i uroczystości uniwersyteckich używali oni stroju zupełnie odrębnego. Przywdzieli tedy długą aż po kostki togę, zwaną *tabardem*, drapując ją w piękne fałdy. Biret i przy uroczystościach pozostawał ten sam.



Nauka bogatych i biednych w XIII w. (minjatura z tzw. rękopisu Manesse w Bibl. Uniw. w Heidelbergu). Po lewej ręce mistrz na wzniesieniu przed pulpitem, w czapce aksamitnej na głowie i z symbolem władzy profesorskiej, różgą w rękę (jest to niemiecki *Minnesänger*, *magister Henricus* z Esslingen) naucza zamożnych chłopców, którzy mają przed sobą książkę. Po prawej młody pomocnik zakonny wznosi różgę nad biednymi (nogi bose, podarte pończochy, koszule) chłopcami, którzy błagalnie zastaniają się rękoma.

Jak widzimy, był to strój zupełnie duchowny *vestitus clericalis* w przeciwieństwie do *vestitus laicalis*, takim go też nazywają rozporządzenia rektorskie. Studenci jednak starali się o ile możności odjąć mu ten charakter, strojąc mycki w kitajkę i rozmaite pióra złocone, lub przepasując je złotą wstążką. Taki sam cel miało na oku używanie owych strojnych, z krzyczącymi barwami tunik i delij, przyczem buciki eleganta musiały bić w oczy swą czerwoną, brunatną lub zieloną barwą.

Strój to był drogi. Owe świecące tuniki kosztowały po kilka a nawet po kilkanaście złotych, za podbitą kunami płaciło się 16 zł. Nawet zwykła tunika czarna z czeskiego sukna kosztowała znaczną na ówczas sumę 1 flor. i więcej. Kto chciał mieć futro, ten za wilczurę zapłacił 9 złp., za podbite zajacami 3 dukaty, a za zwykły kożuch barani 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> flor. Drogie były czapki. Najtaniej kupić było można czapkę baranią, bo za 5—6 gr., za nakrytą czamletem trzeba było dać 15 gr. Kapuca kosztowała 4 gr. a za dwie koszule płaciło się florena, czyli 30 gr.

Ciężko było ubogiemu studentowi postarać się o strój przepisowy, chociaż był on jeszcze najtańszym z tych wszystkich, o których mówiliśmy. Ciężko było o niego nietylko studentowi zwykłemu, ale i bakałarzowi i magistrowi. Nieraz też tak jeden jak i drugi korzysta z tego, że stroje ich są zupełnie takie same jak stroje żaków i w braku swoich od nich pożyczają. Często też skarżą się nawzajem o zniszczenie tuniki magistrowie i bakałarze ze zwy-

kłymi studentami. Drogie były ubiory, nie każdy z ubogich żaków mógł się na nie zdobyć. Przekraczają też przepisy o strojach, nie chodzą w ubiorach przepisanych, ale zwykłych świeckich, bo te zapewne były tańsze. A kary za przekroczenie przepisu o ubiorze były bardzo surowe. Kiedy student pewien z bursy ubogich, przestąpił zakaz i zamiast w przepisany ubiorze pokazał się publicznie w kapeluszu i świeckiem odzieniu, to rektor skazał go na zapłacenie kopy groszy, to jest tak wielkiej sumy, że mógłby sobie za nią kupić płaszcz lub tunikę. I ubodzy i bogaci przekraczali ustawy o ubiorach — jedni z biedy, drudzy ze zbytku i elegancji. Wątpić też należy, czy wszystkie zakazy, a nawet kary coś w tym względzie pomagały. Od samego początku XV do końca XVI wieku ustawicznie spotykamy się z zakazami i surowymi przepisami noszenia sukni duchownych, a przecież również ustawicznie spotykamy się z przestępcami tego rodzaju. Ubogi bowiem nie jest w możności uczynić zadość przepisom, bogatszemu zaś trudno zastosować się do nich, chodzić w stroju poważnym i niewygodnym, w którym mu nadto bynajmniej nie do twarzy.

To też pomimo zakazów, pomimo że seniorowie mieli nakaz czytania po bursach przepisów o strojach, pomimo że mieli zakaz nie przyjmować do bursy nie noszących się przepisowo, ale tylko *honeste vestitos*, przecież studenci nie stosują się do nich, ubierają się stosownie do swej woli. Zamiast tunik, już z początkiem XVI w. używają sukni krótkich, z rękawami przedziurawionymi i takimi, z któ-

rych 'cała ręka wyłazi', tj. jak się wyraża ustawa z r. 1533, stroją się na kształt zaciężnych żołnierzy lub dworzan, przez co student od świeckiego człowieka nie może być odróżnionym. Zamiast zwykłych mycek duchownych, używali studenci świeckich wełnianych lub barankowych, z ogonami na uszy spadającymi, birety ich zaś były w rozmaity sposób powycinane albo wstążką przewiązane.

Takie stroje zaczęli nosić studenci w początkach XVI w. Rektor ówczesny, Arciszewski zakazuje ich surowo, a pieczę nad przestrzeganiem przepisów poleca seniorom burs. Gdyby się student poważył wyjść w podobnym stroju na publiczne miejsce, przełożony kolegjum, szkoły czy też senior, stosownie do tego, gdzie uczeń mieszka, ma go najpierw upomnieć, by strój ten złożył, w nim się nie pokazywał publicznie. Nie pomoże dobre słowo przełożonego, to należy upornego zawezwać przed sąd, złożony z przełożonego i konsyljarzy. I teraz jeszcze nie jest karany, ale otrzymuje łagodne upomnienie, by w przeciągu 8 dni strój przepisowy złożył. Gdyby go w tym czasie nie złożył, płaci kary 4 gr. — za piętnaście dni groszy 8. Jeżeliby zaś i ta podwójna kara nie pomagała i student nadal uparcie obstawał przy swym świeckim stroju, sprawa szła przed rektora, a ten karał nieposłusznego stosownie do swej woli. Sprzeciwienie się rozkazowi rektora pociągało za sobą wypędzenie i z bursy i z uniwersytetu. Taki student był uważany jako 'nieprzyjaciel ucziwości' (*tamquam honestatis inimicus*).

Jednakowoż nie wszyscy studenci mieszkali

w bursach, szkołach czy kolegiach. Niektórzy mieszkali prywatnie. Któż miał nad nimi czuwać, skoro seniorów nad sobą nie mieli? Nad nimi mieli roztoczyć swą czujną opiekę profesorowie,



Profesor-zakonnik objaśnia tekst z książki otwartej. U stóp jego uczniowie w strojach kleryckich, również z książkami w ręku, w nabożnem skupieniu słuchają słów mistrza. Nad ryciną napis: *Accipies tanti doctoris dogmata stanti.*



k którzy mieli uczniów upominać łagodnie, po przyjacielsku, do porzucenia świeckiego stroju. Gdyby nie usłuchali łagodnego i życzliwego przedstawienia swych profesorów, również groziła im kara wykluczenia. Studentów nie stosujących się do przepisów uniwersyteckich, mogli upominać również bedele i trzeba było im być posłusznym jakby samemu rektorowi. Bedel bowiem w owych czasach odgrywał wielką rolę w życiu uniwersyteckiem. Był on nietylko sługą, ale i prawą ręką rektora. Jemu i uczniowie i profesorowie musieli ulegać — sprzeciwienie się mu, naruszenie jego powagi było surowo karanem. Gdyby student w nieprzepisanej czapce przychodził do uniwersytetu, to bedel bez żadnej ceremonji mógł mu czapkę, czy kapelusz zdjąć z głowy i wzbronić mu wstępu. A kiedy pewien student oburzony podobnym postępkim bedela nawzajem ściągnął mu z głowy biret, rektor skazał go na karę 1 florena.

To przypuszczenie do pewnych, przepisanych ubiorów odnosiło się i do profesorów. I im było przykro ustawom tym podlegać. Rektor Arciszewski i na nich też zwrócił swoje oko. Pod karą 6 groszy *totiens quotiens* nakazał im nawet do obiadu przychodzić w stosownych sukniach, odpowiednich do ich stanu; a więc w tunikach długich i talarach duchownych, z biretami okrągłemi na głowie, jakby na jaką uroczystość. A nakaz rektora bynajmniej nie został na papierze. Owszem, w tym samym jeszcze tygodniu zjawiają się przed rektorem trzej profesorowie: Michał z Wiślicy, Sebastjan z Kleparza

zwany także Janeczką i Bartłomiej ze Stradomia zwany Sabinką, aby złożyć karę za przekroczenie przepisu rektorskiego. Równocześnie są oni wysłańcami od innych profesorów i w imieniu całego kolegium proszą rektora, by zniósł owo rozporządzenie, bo ono się nie tylko nie zgadza ze statutami uniwersyteckimi, ale także sprzeciwia się ich kolegialnym ustawom. Podobne żądanie i w takiej wyrażonej formie było zuchwalstwem. To też rektor nietylko, że odrzucił ich żądania, ale nawet wszystkich trzech, jako zuchwałych i opornych skazał na zapłacenie grzywny 6 gr., którą mieli uiścić do zachodu słońca w dniu następnym. Jakżeż oni mieli pilnować studentów, by nosili strój przepisany, skoro im samym było w nim za ciężko?

Jeżeli tak ściśle i surowo przestrzegał uniwersytet przepisów co do ubiorów, to tem bardziej co do broni. Od samego początku czytamy o rozmaitych zakazach jej używania i posiadania. Jeżeli kto miał broń przed wstąpieniem do bursy, powinien złożyć ją u seniora i przysiąc na ewanielję, że innej broni prócz tej, którą złożył, nie ma w posiadaniu. I rzeczywiście, zakaz noszenia broni był bardzo słuszny, jeżeli się zważy na rozmaite nadużycia z bronią, na jakie sobie studenci pozwalali. Często czytamy nietylko o poranieniu się studentów nawzajem, ale także i mieszczan. To też zakazu noszenia broni przestrzegał uniwersytet z początku ściśle i to tak u bursaków jak i mieszkających prywatnie. I kiedy w r. 1497 Piotr z Hornok, nie zważając na rozporządzenie chodził z nią publicz-

nie, wtedy został skazany na więzienie i tylko na gorące jego prośby zamienił mu rektor areszt na karę pieniężną. Zapłacił 1 florena. Kary jednak nie bardzo skutkowały, ilość przestępców stale się zwiększała, to też z biegiem czasu, chociaż uniwersytet ciągle powtarza owe przepisy, począł patrzeć na nadużycia przez palce. Studenci nie tylko nosili broń, ale się nią często bili, ranili, uniwersytet zaś karze nie za przekroczenie ustawy o noszeniu broni, ale tylko za zranienia lub w ogóle za burdę. Co więcej, uniwersytet a względnie rektor rozsądza sprawy o posiadanie broni między jednym studentem, przyznaje ją jednemu lub drugiemu.

Rzeczą honoru prawie ówczesnego studenta było posiadać już to miecz, już to łuk czy włócznię, już też jaką rusznicę lub przynajmniej nóż dobry. Jeżeli nie miał pieniędzy, a zdarzyła się sposobność nabycia dobrej broni, to zastawiał wszystko i ksjażki i suknie, byle tylko ją nabyć. Bernard Godaczewski, nie mając pieniędzy, zrobił z pewnym młodzieńcem taką zamianę, że on mu dał tunikę, a młodzieniec łuk i miecz. I zrobiłby znakomity interes, bo broń ta kosztowała 40 dukatów. Zrozumiał to dobrze Godaczewski i nie długo trzymał tak drogą rzecz u siebie. Zaraz na drugi dzień podążył do tandeciarza, chcąc ją zamienić na brzęczącą monetę. Doznał jednak zawodu i gorzkiego rozczarowania. Bo w czasie aktu sprzedaży zjawiają się dwaj dworzacy i w broni targowej poznają broń, niedawno właśnie sobie skradzioną. Byli to dworzanie królewscy, Grzegorz i Jerzy Ryn. Sprawę wytoczono

przed rektora; wszyscy świadkowie zeznawali na korzyść Bernarda, bo widzieli, że broni nie ukradł, ale kupił za tunikę. Przytoczono też nazwisko owego młodzieńca, od którego broń kupił; był to niejaki Sokołowski, który jednak na sądzie się nie zjawił. Świadków Godaczewski miał za mało, bo zaledwie dwóch i do tego jeden z nich tylko był obecny przy kupnie i widział, że Godaczewski broń kupił. Rektor uznał obronę Godaczewskiego za niewystarczającą i kiedy dworacy dali swoje szlacheckie słowo i w przysiędze wyciągnęli ręce do góry, wołał



Wykład uniwersytecki. Uczniowie różnego stanu i wieku siedzą w ławkach; jedni czytają, inni piszą, jeszcze inni słuchają. Jeden zasnął (kopia malowidła, wykonanego przez Laurentiusa de Poltolina, w gab. miedziar, w Berlinie).

uwierzyć szlacheckiemu słowu niż zeznaniom świadków. Przysądził broń dworakom. Tak więc nie długo trwała radość Godaczewskiego z dobrego kupna, bo i broń postradał i tuniki nie miał.

Pomimo więc wszelkich zakazów broń noszono.

Rektor polecał seniorom burs, by doradzali studentom przestrzegać przepisów o broni; nie mieli oni jak widzieliśmy przyjmować do bursy bez złożenia przysięgi przez studenta, że nie ma broni, lub jeżeli ją ma, to tylko tę, którą złożył u seniora. Seniorowie jednak widocznie nie przestrzegali ściśle przepisów, patrzyli przez palce na nadużycia pod tym względem. Dlatego też w r. 1559, rektor Marcin Krokier poleca składać przysięgę nie seniorom, ale prowizorom burs. Według tego polecenia mieli studenci przysięgać na ewanielję lub Chrystusa na Krzyżu, że innej broni nie mają u siebie, prócz tej, którą złożyli u prowizora i oprócz noża do temperowania. Ciężkiem się wydało to postanowienie studentom, przyzwyczajonym do lekkiego traktowania sprawy przez seniorów. Obruszają się też o to studenci wszystkich burs i wszystkich szkół i wnieśli zażalenie do rektora Krokiera, mówiąc, że rygor to niesłychany i nie ma uzasadnienia w żadnej ustawie, by zamiast przed seniorami jak było według dawnego zwyczaju, składali podobną przysięgę przed prowizorem. Proszą więc rektora, by składanie broni i przysięgi odbywało się tak jak dawniej przed seniorem, jak tego zresztą i ustawy wymagają. Krokier zwołał na naradę wszystkich profesorów uniwersyteckich. Długo się naradzano,

jak sprawę załatwić. Ostatecznie uchwalono wrócić do dawnego zwyczaju, pozwolić jak dawniej u seniorów składać broń i przysięgę.

Oprócz nożyka do temperowania nie wolno było mieć żadnej broni przy sobie. Jednakowoż studenci nie miewali nożyków, ale noże wielkie, na kształt mieczy. Były to zapewne sztylety, bo spotykamy się z wypadkami, że nóż taki kosztuje nieraz całego florena — nieraz też nóż służy jako zastaw, można było zań otrzymać od żyda parę groszy. Nic więc dziwnego, że zakazując nosić broni, zakazywano również i nożów z wyjątkiem do temperowania, bo byłoby to pretextem do obchodzenia zakazu. Nóż bowiem taki niczem nie różnił się od miecza. Często też student nożem grozi w gniewie przeciwnikom, często nawet w zapalczywości pokrajał drugiemu studentowi i twarz i głowę całą.

Jeżeli ustawy o ubiorach i noszeniu broni jeszcze w w. XV miały jakieś znaczenie, to im dalej wgłąb wieku XVI, mniej się spotykamy z ich wykonaniem. Studenci wprost nie słuchają przepisów, nie chcą ich znać zupełnie.

Oto w r. 1563 rektor znosi zwyczaj, jaki się już od dawna zakorzenił w bursie Jerozolimskiej, zwyczaj trzymania w bursie dla swej wygody krawca. Ale studenci bynajmniej nie troszczyli się o ten zakaz. Dopiero, kiedy ów rektor, autor tego rozporządzenia, Sebastjan z Kleparza został prowizorem bursy, wypędził krawca i począł zmuszać studentów do przestrzegania wszelkich przepisów.

Istniała jednakowoż jeszcze władza, nietylko

górująca ponad prowizorem, ale także i uniwersytetem. Była to władza każdorazowego krakowskiego biskupa kanclerza i protektora uniwersytetu. Ponieważ bursy były integralną częścią uniwersytetu, więc też i nad nimi rozciągała się w najwyższej instancji jurysdykcja kanclerska. Wszyscy kanclerze zazwyczaj szli ręką w rękę z uniwersytetem. Ale właśnie w tym czasie, w r. 1566, biskupem krakowskim był Filip Padniewski, odznaczający się wielką dobrocią serca i szczerem przywiązaniem do młodzieży.

Wiedzieli o tem studenci bardzo dobrze i rzecz niesłychana, udali się wprost do niego ze skargą na prowizora. Żalili się zaś nietylko na to, że im nie pozwala trzymać własnego krawca, ale co większa, na tę już od początku istniejącą uciążliwość zmuszania ich do noszenia sukien przepisowych — a nawet i na niepozwolenie noszenia i używania broni do szermierki. Biskup natychmiast wezwał prowizora Sebastjana przed siebie. W obecności kilku kanoników, jak scholastyka Przećławskiego, archidjaka Krajewskiego, Jana Koszborga, Podoskiego i Krasińskiego przesłuchiwał prowizora. Miasto reprezentował rajca Mikołaj Kozanowski, uniwersytet dr. Zygmunt Obrębski i mgr. Jan Lwowianin, kanonicy kol. św. Florjana. Daremnie prowizor zaśłaniał się i przedstawiał, że ustawy uniwersyteckie zakazują noszenia broni i dowolnego ubioru, że szermierka w uniwersytecie jest zakazana. Daremnie też przedstawiał i ów kanonik, któremu przede wszystkim należało w tej sprawie zabrać głos,



4\*

Nadanie szlachectwa uczonemu przez króla Zygmunta Starego. Królowie polscy, chcąc przyczynić się do rozwoju nauk, obdarowywali często doktorów akademii Jagiellońskiej klejnotem szlacheckim (obraz Jana Matejki).



scholastyk Przeclawski, prosząc, by biskup prawa uniwersyteckie i burs zachował nienaruszone, bo z tego nic dobrego nie wyniknie. Biskup był głuchy na wszelkie przedstawienia. „Nie chcę ja — powiedział — krępować młodzieży tak surowymi prawami, popuścić coś trzeba z tej surowości. Nie chcę ja mieć ze studentów kulfanów (ciemiegów), niech się uczą i ćwiczą w szermierce, niech używają broni, byle tylko od bitek i wzniecania rozruchów w mieście się powstrzymywali“. Pozwolił również studentom trzymać w bursie nie tylko krawca, ale nawet pomocnika krawieckiego, a suknie pozwolił nosić; jakie się im tylko podoba „wyjąwszy te, które mają długie kołnierze“. Takie mu się bowiem, jak mówił, nie podobają.

Wyrok powyższy był dla uniwersytetu wielce obrażający. Było to bowiem ignorowaniem i lekceważeniem nie tylko praw prowizora bursy, ale także uniwersyteckich. Biskup, bez rady i uchwały uniwersytetu przekreślał dwa paragrafy ustaw. Rozgoryczony prowizor popędził do uniwersytetu i tu przed zgromadzeniem w namiętnych słowach opowiedział cały przebieg procesu i zniewagę, jakiej doznał on i uniwersytet. „Czyż dobrze uczynił biskup?“ Pyta się w końcu zgromadzenia prowizor. Na to pytanie uniwersytet miał dać dopiero w kilka dni odpowiedź.

Biskup o swem rozporządzeniu nawet nie zawiadomił urzędownie uniwersytetu. Nie wiedziano też, czy to wszystko jest prawdą, czy się biskup powążył na łamanie ustaw uniwersyteckich. Rektor Jan Dobrosielski zwołał 7 dni po owej sprawie

z prowizorem, zgromadzenie całego uniwersytetu pod hasłem: „Komu być posłusznym, ustawom, czy biskupowi“. Aby się zaś jeszcze lepiej upewnić o owym rozporządzeniu biskupa, czy ogłosił on je młodzieży, wezwano na to zgromadzenie również dwóch akademików z bursy Jeruzalem, niejaki Adam Cybulskiego i Jana Herbesta. Gdy się ich zapytano, czy prawdziwą jest owa pogłoska, odpowiedzieli, że prawdziwa, bo „Reverendissimus powolił nam nosić strój jaki chcemy, wyjąwszy stroju *cum longis dependentiis alias* z długimi kołnierzami, również pozwolił mieczy, ale nie do walki, lecz szermierki, możemy też i krawca w bursie trzymać“.

Teraz już nie miano wątpliwości. To też po dłuższej naradzie jednogłośnie sprzeciwiono się samowolnemu rozporządzeniu biskupa. Wbrew jego rozporządzeniu przepisy o noszeniu ubiorów miały nadal obowiązywać jak dotychczas, zabroniono również używać broni i tylko pozwolono do szermierki... drewnianych mieczy. Krawca pozwolono tylko wtedy używać do bursy, kiedy miał dużo roboty, tylekroć, wiele razy byłby potrzebny. A zatem uniwersytet pomimo, że się sprzeciwił rozporządzeniu biskupa, przecież coś ustąpił z swych dawnych, pokrytych siwizną wieków ustaw. Jak przyjął do wiadomości tę uchwałę biskup? Nie mamy wiadomości.

Dziwić się zresztą tej uchwale nie można. Uniwersytet musiał to zrobić, chociażby w obronie swej godności, tak bardzo na szwank narażonej. Postąpienie bowiem biskupa, aczkolwiek podyktowane najlepszymi pobudkami, było w wysokim stopniu

nietaktowne. Naraziło ono na szwank i honor i powagę uniwersytetu, skoro uczniowie tak stanowcze mieli odnieść nad profesorami zwycięstwo. Uniwersytet więc opierając się postanowieniom biskupa, zrobił tak jak musiał, jak mu jedynie zrobić wypadało bez ujemy dla swej powagi.

Jakkolwiek się stało, w każdym razie sprawa z biskupem była zwycięstwem studentów. Była ona widowym znakiem bankructwa tej idei, która dotychczas świeciła uniwersytetowi, że jest członkiem kościoła, wszyscy jego członkowie są osobami duchownymi, po duchownemu też powinni się nosić. Ta idea teraz zbankrutowała, bo oto najwyższy zwierzchnik uniwersytetu i kościoła, przeciw niej się oświadcza. Ten też spór biskupa z uniwersytetem stanowi przełom w życiu studenta pod względem ubiorów. Jeżeli bowiem dotychczas pomimo ustaw, uświęconych powagą biskupów jako kanclerzy uniwersytetu, często wyłamywali się z pod nich studenci, to tem bardziej teraz, gdy mieli po swojej stronie wyrok kanclerza. Jeżeli też dawniej uniwersytet nieraz przez palce patrzył na strój i broń studentów, to tembardziej teraz, gdy jego wiara w nienaruszalność ustaw uniwersyteckich i słusność sprawy przez ten wyrok mocno została zachwiana. To też pomimo jeszcze kilku zakazów, pomimo postanowienia króla Batorego z r. 1578, z końcem XVI w. runął cały ten system trzymania studentów w dyscyplinie niejako klasztornej i choć specjalnego pozwolenia nie było, siłą faktu upadły przepisy o ubiorach.

### III. UTRZYMANIE

Utrzymanie studentów w czasach dawniejszych było rzeczą daleko łatwiejszą niż dzisiaj. Tylko tych, którzy mieszkali prywatnie (*in hospiciis*) kosztowało ono więcej. W licznych bursach i kolegjach znajdował ówczesny student utrzymanie za niewielką tylko opłatą, a nawet, jeżeli był prawdziwie ubogi, mógł je otrzymać i bezpłatnie. W szkołach, co prawda, znajdowano tylko samo mieszkanie, ale *zak*, jako *pauper mendicans* mógł dostawać w mieście jałmużnę, student zaś uniwersytecki w samejże szkole mógł znaleźć zatrudnienie i zarobek.

Posady bowiem nauczycielskie przy szkołach parafjalnych obsadzano przez studentów uniwersyteckich. Przy każdej zaś większej szkole było kilka posad. Potrzebnym był bowiem i rektor szkoły czyli właściwy nauczyciel, jego pomocnik i zastępca (*locatus*), dalej nauczyciel śpiewu (*cantor*), a czasem i nauczyciel kaligrafji i stylistyki; *pauperes mendicantes* wreszcie podzieleni byli na oddziały, a na czele każdego stał *praeceptor*, dla pilnowania porządku, za co pobierał pewne wynagrodzenie. Posady to były liche i jedynie posada rektora dawała jakie takie utrzymanie. Ze względu jednak, że to było w miejscu, że mając taką posadę miało się punkt oparcia i można było łatwiej kończyć studja, posady te rozchwytywano. I nie tylko w Krakowie, ale także i poza Krakowem chętnie przyjmowano obowiązki i to nie tylko rektorów, ale nawet kantorów. Co więcej, ubiegano się o nie gorliwie; i kiedy w r. 1473 opróżniła się posada kantora w Lewoczy, to taka była emu-

lacja między dwoma kandydatami, Polakiem i Niemcem, że aż przyszło do sporu sądowego i wytoczenia sprawy przed rektora, kiedy zawiedziony w swych nadziejach kandydat czuł się pokrzywdzonym. Jakie dochody mogli mieć nauczyciele w szkołach parafjalnych, o tem pouczają nas stosunki, jakie panowały przy szkole katedralnej i Marjackiej a po części i Wszystkich Świętych.

Szkoła Marjacka była podzielona na dwa oddziały, niższy, gdzie się znajdowali początkujący, i oddział wyższy. Nauczycieli było sześciu; a mianowicie, rektor, dwóch zastępców, nauczyciel śpiewu i dwóch nauczycieli kaligrafji. Nauczycieli tych utrzymywali uczniowie własnym kosztem. W XIV w. płacono im *in natura*, a opłaty te sami nauczyciele sobie ściągali. Nie były one stale oznaczone, ale zależały od dobrej woli rodziców uczniów. Takie chodzenie po żebrach było wielce dla nauczyciela niegodne; była to w całym tego słowa znaczeniu dzisiejsza petyta. Podobnie jak owi nauczyciele, chodzą dziś jeszcze po żebrach młodzi księża i kościelni, przyczem jałmużna, jaką otrzymują od parafjan *in natura*, zupełnie zależy od ich dobrej woli i łaski. Czuli to nauczyciele marjaccy i zapewne za ich własnym staraniem, przy końcu XIV w., zamieniono im te opłaty na stałe i ściśle oznaczone. Przypatrzmy się im bliżej.

Opłaty w oddziale niższym były o połowę mniejsze niż w oddziale wyższym. W pierwszym płacił uczeń kwartalnie  $2\frac{1}{2}$  gr., uczeń z drugiego oddziału płacił 5 gr., czyli roczna opłata wynosiła



Profesor uniwersytetu i studenci w. XV w różnorodnych strojach (drzeworyt z dzieła Brunschwiga *Chirurgia*, Strasburg 1497).

w oddziale niższym 10 gr., w wyższym 20; zaś wogóle razem z opłatami innymi jak na drzewo, kancelaryję etc. wynosiły w oddziale niższym rocznie 14 gr., w wyższym 24. Na rektora szkoły z tego przypada:

Z niższego oddziału  
 podarunek na św. Galla  $-1/2$  „  
 Zwyczajna opłata roczna 4 gr.  
 Razem . . .  $4\frac{1}{2}$ gr.

Z wyższego oddziału  
 Zwyczajna opłata roczna 8 gr.  
 podarunek na św. Galla  $-1/2$  „  
 Razem . . .  $8\frac{1}{2}$ gr.

Od każdego więc ucznia z niższego oddziału otrzymywał kierownik szkoły rocznie  $4\frac{1}{2}$  gr., z wyższego zaś  $8\frac{1}{2}$  gr. Jeżeli przypuścimy, że w każdym oddziale było po 30 uczniów, to całoroczny dochód rektora wynosiłby:

w oddziale niższym . . . . 135 gr.  
 „ wyższym . . . . 255 „

czyli zamieniąwszy to na grzywny, 8 grz. 6 gr.

Czy oprócz wymienionych miał jeszcze inne dochody? Niewiadomo. Szkoła marjacka była szkołą miejską, ale miasto jej rektorowi nic nie płaci. Zastępca rektora pobierał od uczniów rocznie 7 grz. 39 gr., na kantora zaś przypadało 3 grz. 36 gr., na nauczyciela kaligrafji 1 grz. 12 gr. Podobne stosunki panowały w Malborgu; i tutaj szkoła jest podzielona na oddziały i tu nauczyciele tacy sami, brak tylko kaligrafa. Według obliczeń dziejopisa tej szkoły,

burmistrza malborskiego Johna, który chodził do tej szkoły w latach 1742—1751, pobierał tu rektor rocznie 11 talarów 36 srb.

Jeżeli daleko na północy stosunki były mniej-więcej podobnie do stosunków w szkole marjackiej, spodziewaćby się należało, że tak samo musi być i w Krakowie, w innych szkołach parafjalnych. Tymczasem tak nie było. Do szkoły marjackiej widocznie chodziły dzieci zamożniejszych rodziców, którym nie robiło różnicy zapłacić 14 lub 24 groszy za roczną naukę. Inaczej było w szkole katedralnej, zamieszkałej głównie przez młodzież ubogą. Żacy tutaj byli tak ubodzy, że obok zwykłych usług kościelnych byli nawet grabarzami parafji katedralnej. W r. 1480 postanowiła kapituła krakowska, że „scholarzom zamkowym, którzy chorągwie w czasie procesji noszą i umarłym groby w kościele katedralnym przygotowują i kopiają, należy się za każdego umarłego po  $\frac{1}{2}$  grzywny“, gdy zaś wielkie kamienie, jakie się zwykle pod grobami pochowanych kładą, musieli podnosić i napowrót pokładać, wtedy od takich pogrzebów i grobów mogli żacy pobierać po grzywnie. Zobowiązani byli jednak żacy po pochowaniu zmarłych płyty grobowe, należycie ułożone i ustawione, dać „własnym kosztem ponaprawiać i cementem utwierdzić“. Tacy biedacy chyba nie mogli opłacać nauczycieli, dlatego też tutaj rektora a zapewne i innych nauczycieli opłacała kapituła.

Uposażenie rektora szkoły katedralnej stanowią: czynsz z domu przy ulicy Poselskiej w sumie  $2\frac{1}{2}$  grzywny, dalej scholastyk krakowski ze swego



beneficjum w Mistrzowicach płaci mu 12 grzywien rocznie, wreszcie proboszcz od św. Michała za to, że rektor pozwalał uczniom swoim śpiewać w jego kościele w czasie nabożeństw, płacił mu rocznie 5 grzywien. W r. 1456 przybył mu jeszcze jeden dochód, albowiem biskup krak. Zbigniew Oleśnicki postanowił, że każdy prałat i kanonik katedralny przy przenoszeniu się z mniejszego beneficjum na większe obowiązany jest dać  $\frac{1}{2}$  grzywny rektorowi szkoły katedralnej. Jeżeli zliczymy wszystkie dochody rektora razem, to otrzymamy:  $19\frac{1}{2}$  grzywny.

Jeżeli zaś do tego dołączymy dochody, płynące ze zmiany beneficjów, to suma dochodów rektora szkoły katedr. grubo przekroczy 20 grzywien. A przecież oprócz tego jeszcze miał wolne mieszkanie w szkole i jakieś dochody z wiktowania się u niego studentów, które to dochody były wspólne rektorom wszystkich szkół. Suma ta byłaby zbyt wspaniałem uposażeniem rektora szkoły parafjalnej, a to tem bardziej, że uposażenie profesora filozofji na uniwersytecie wynosiło tylko 20 grzywien. To też na rektorze ciężą pewnie obowiązki; z tej sumy ma już pokryć i wydatki na szkołę, ma ogrzać sale szkolne i kupić instrumenta do kapeli studenckiej. Te  $\frac{1}{2}$  grzywny bowiem, otrzymywane przy przenoszeniu kanonika na wyższe beneficjum, stale później są przeznaczane na zakupno instrumentów muzycznych. Zdaje się, że ta pokaźna suma ma służyć na urządzenie szkoły, a rektor jest jej tylko szafarzem. Prawdopodobnie opłacał on z niej i swoich pomocników i dopiero, tem, co zostało po zaspokojeniu wszystkich

wydatków, musiał się zadowolnić. Że zaś rektorzy szkół parafjalnych, wypłacali pewne sumy swoim pomocnikom w nauce, mamy na to dowód w aktach rektorskich, gdzie pod r. 1498 znajdujemy wzmiankę,



Nauka królewicza w XV w. Królewicz (późniejszy cesarz Maksymiljan I), w sukni szkarłatnej i wieńcu na głowie, pobiera naukę w osobnej ławce; mina nauczyciela jest pełna szacunku i łagodności. Współuczniowie, synowie dostojników, siedzą w odpowiedniej odległości. (Leonard Beck, *Weisskunig*).

że rektor szkoły przy kościele św. Szczepana winien był zapłacić bakałarzowi Mikołajowi Górskiemu „jako wynagrodzenie“ *pro suo salario* 1 wiardunka „za petytę“ (*ratione columbacionis*), 1 wiardunka „za śpiew“ (*ratione canticorum*).

Bardzo różnorodne i bardzo ciekawe były dochody rektora szkoły przy kościele Wszystkich Świętych. Ogólnej ich cyfry nie można podać. Najważniejsze z tych dochodów były następujące:

1. Dziesięcina ze wsi Piotrkowice już od r. 1380 do końca istnienia szkoły. Według wiadomości z r. 1440 przynosiła ona 3 grzywny rocznie.

2. Myto od prałatów kolegiaty; było ono widocznie bardzo szczupłe, bo źródła wyrażają się o niem „skromne“ (*tenuis*).

3. Miał udział w przygodnych dochodach wikariuszów kolegiaty, od pogrzebów, żałobnych nabożeństw itd.

Znaczny dochód przynosili mu również uczniowie, którzy obowiązani byli względem niego do pewnych opłat tak w gotówce, jak i w naturaljach.

Ale najciekawszą była opłata innowierców i żydów, którzy już w r. 1506 składają dwa razy do roku podatek „na korzenie“ (*pro aromatibus*). Jest to tzw. kozubalec.

Oprócz tych dochodów miał jeszcze rektor szkoły WW. Św. i te wszystkie, które były mniejwięcej wspólne rektorom wszystkich szkół jak: opał od prałatów kolegiaty, wolne mieszkanie, dochody utrzymywania studentów, z kolędy itd.

Z tego wszystkiego, czegośmy się o dochodach

rektorów dowiedzieli, możemy wnosić, że nie były one stałe, że w różnych szkołach były różne; że pobierali oni swe pensje już to od plebanów, już też od uczniów, w gotówce lub w formie dziesięcin, że były wreszcie dochody wspólne rektorom wszystkich szkół, o czemeśmy już wyżej mówili. W Niemczech zajmowali się nawet czasem drobnym handlem, wyszynkiem piwa, wogóle wszystkim, co mogło ich być poprawić.

Dochody te, jak widzieliśmy z poszczególnych zestawień, byłyby wcale znaczne, gdyby były regularnie płacone i gdyby ci, którzy obowiązani byli do płacenia, spełniali swoją powinność. Ale tak nie było. Wizyta Kazimierska z r. 1595 wyraźnie zaznacza, że rektor szkoły W.W. Św. nie ma żadnych dochodów, tylko „szkolne“ (*a scholaribus precium*) i z procesyj. Prócz tego stanowisko jego bynajmniej nie było stałe. Proboszcz czy ktokolwiek był bezpośrednim przełożonym rektora, mógł go oddalić każdej chwili, a ten co najwyżej mógł apelować (jak się rzecz miała w Krakowie) do oficjała biskupiego, jeżeli miał jeszcze jakieś do chlebodawcy pretensje. Był więc najzwyczajszym najemnikiem.

Chcąc byćrektorem szkoły, trzeba było mieć jakiś egzamin. W większych miastach, jak np. w Toruniu, rektorami byli bakałarze lub nawet magistrzy nauk wyzwolonych, w Krakowie zaś z reguły przyjmowano tylko magistrów. Natomiast w mniejszych miastach o rektorat mógł się ubiegać i bakałarz, a nawet zwykły student. Ile mógł rektorat przynosić na prowincji, niewiadomo, ale musiał być dość

popłatny, skoro nawet na posady kantorów wybiera się uboga młodzież na prowincję. Jak już wyżej wspomnieliśmy, przy obsadzaniu kantoratu w Lewoczy powstał aż spór sądowy. Jakże zaś były dochody kantorów na prowincji, poucza nas miasto Bochnia. W r. 1470 rektorem szkoły tutejszej jest Stanisław z Górki, bakałarz, który na kantora przy swej szkole przyjmuje niejakiego Jakóba z Chromańowa, a jako „pensję“ (*salarium*) obiecuje mu płacić 3 wiardunki z petyty (*de columbacione*) i od ślubów po 1 gr. (*litterales de immenibus [hymenibus] per unum grossum*). Oprócz tego ma mieć wolny wikt, a zapewne i mieszkanie.

Te zatem szkoły parafjalne, tak w Krakowie, jak i na prowincji, szczególnie w bliższych okolicach, stanowiły znaczne źródło utrzymania biedniejszej młodzieży uniwersyteckiej, były pomocą w jej studjach, szczeblami, po których mozolnie pięć się musiała na wyższe godności kościelne. Szkół zaś parafjalnych było w Krakowie 12, zatem znaczny zastęp ubogiej młodzieży mógł tu znaleźć utrzymanie, lub przynajmniej jakąś pomoc w studjach.

Jak dziś, tak też i wówczas niemałą pomocą dla ubogich studentów było udzielanie lekcji. Bogatsi obywatele krakowscy brali do swych synów ubogich uczniów uniwersytetu; zwali się oni pedagogami, lub praeceptorami i mieszkali stale w domu chlebowdawcy. Byli też pedagogzy, dodani na stróżów moralności i praeceptorów w naukach synom bogatych rodziców, którzy nie chcieli oddawać synów

do bursy. Otóż takim paniczom pozwalał rektor mieszkać prywatnie (*in hospicio*), ale obowiązani byli mieć jakiegoś nauczyciela, jako pomocnika w na-



Nauczytel-humanista, *poëta laureatus*, wypytuje z gramatyki Donata ucznia, siedzącego przed nim przy stole. Inni zabawiają się, jeden zasypia ('radosna szkoła'). Okno sali otwarte, jest również błazen figlujący i zwierzęta. Nauka renesansowa zupełnie jest odmienna od średniowiecznej, jak widzimy z obrazu (minjatura, wykonana prawdopodobnie ok. 1496 przez Znana Andrea de Mantova w Medjolanie).

ukach i kierownika obyczajów. Praeceptorami ich byli zwykle magistrowie lub bakałarze, mężowie *cum titulo* dla większej powagi. W nagrodę miał pedagog mieszkanie, wikt i jeszcze zapewne jakieś wynagrodzenie. Zależało to zresztą od zamożności tego, czym był praeceptorem. Pewien Węgier, niejaki Kasper z Preszowa, za przygotowanie do stopnia bakalaureatu Stanisława, syna Barbary Kasprowej, miał mieć u niej całe utrzymanie, zresztą żadnej innej nagrody. Utrzymanie to liczyła sobie Barbara po 12 gr. na tydzień, czyli grzywnę miesięcznie. Suma jak na owe czasy wyglądała poważnie, a przecież za samo utrzymanie pracować, to trochę za tanio. Kasprowa zaś wymagała sumiennej i rzetelnej pracy i kiedy widziała, że pedagog nie poświęca tyle czasu i pracy synowi, ileby sobie sama życzyła, już po dwu tygodniach rzekła do niego: „Dobry synu! Skoro nie przykładasz się pilnie w nauczaniu mego syna, wiedz, że już u mnie nie będziesz miał utrzymania; a jeżeli chcesz nadal przystępować do stołu, musisz płacić jak inni“. Pedagog widocznie wziął sobie mowę Kasprowej za żart, a może tylko za przypomnienie mu obowiązków, by się sumiennie zajmował nauką jej syna, dość, że stołował się u Kasprowej i syna jej uczył dalej. Nauczył go „*Tercium tractatum Petri Hispani* i *Parva naturalia*“, a nadto nauczył go grać na klawikordzie. Wiktował się u Kasprowej przez 18 tygodni. Pani Barbara tymczasem za każdy tydzień liczyła sobie 12 gr., i kiedy Kasper chciał od niej odejść, zatrzymała mu rzeczy, dopóki jej należytości nie zapłacił. Sprawa wyto-

czyła się przed sąd rektora, a ten Kasprowej nakazał rzeczy zwrócić, ale Kasper winien był dać dobrą porękę „w gotówce“ *in auro et argento*. W ciągu procesu przyznał, że dłużen jest Barbarze 3 flor., a ona się i na tę sumę zgodziła. Ale pomimo tego sprawa nie prędko się jeszcze skończyła. Ciągnęła się ona długo, bo przez kilka miesięcy (od sierpnia do drugiej połowy listopada 1469 r.), aż wreszcie 17 listopada zapłacił Kasper Barbarze 2 fl. a za trzeci, ponieważ nie miał pieniędzy, dał na zastaw czarną tunikę.

Oprócz wymienionych sposobów zarobkowania mieli studenci i inne. Wielce tutaj pomocnymi były osobiste zdolności. Dobrze się powodziło takiemu, co posiadał jakąś sztukę, kto np. umiał grać na jakimś instrumencie. Szczególniej ulubioną była gra na cytrze; studenci ustawicznie wygrywali na tym instrumencie i dęli we flety, tak, że aż sąsiedzi burs czy szkół musieli się użalać, że wskutek ich produkcji muzycznych spokoju nie mają. Cytra zresztą to wcale jak na ówczesne czasy niedrogi instrument. Można ją było dostać za 10 groszy. Za udzielanie lekcji gry na cytrze można było zarobić parę florenów.

Jednakowoż daleko popłatniejsza była umiejętność malowania miniatur. Posiadający bowiem tę sztukę, nietylko że mógł ją wyzyskać praktycznie, sporządzając miniatury do ksiązek, ale także mógł coś zrobić przez nauczanie jej innych. Jan z Kazimierza, bakałarz, za opatrzenie miniaturami książki *Pantheologia* otrzymał 1 grzywnę nagrody. Mamy





też dokładną zapiskę, traktującą o warunkach udzielania lekcyj tej sztuki. Oto altarysta pewien przy kościele N. P. Marji chce się nauczyć malowania miniatur złotem i kwiatami. Posiada zaś tę sztukę Jakób z Bystrzycy, bakałarz pr. kan. Udaje się więc do niego i układa o warunki. Nauka ciągnęła się przez niecały miesiąc, rozpoczęła się bowiem 10 kwietnia, skończyła z końcem tego miesiąca. Wynagrodzenie zaś jak na ówczesne czasy było bardzo piękne, bo wynosiło 3 floreny. Coprawda nauka odbywała się codziennie, ale przecież 3 flor. za 20 dni to suma znaczna, bo wynosiła półpięta grosza dziennie. Z pewnością też student ówczesny starał się posiadać tę sztukę, tak ładny dającą zarobek. A miniaturzystów w owych czasach, szczególnie w w. XV, potrzeba było wielu i poszukiwano ich, wszak tak wiele wychodziło książek, opatrzonych większą lub mniejszą liczbą miniatur.

Udzielanie lekcyj, czy to ściśle naukowych, czy muzyki lub miniaturowania były zajęciami szlachetniejszymi, prawdziwie studenckimi, wogóle zajęciami, których i dziś żaden student się nie wstydzi. Ale dla studentów w. XV i XVI, żadna praca nie była pogardy godną, byle tylko była uczciwą i zapewniała jakiś dochód. Oto znajdowali się studenci ubodzy, którzy zastępowali i pełnili funkcje służących — i to tak względem swoich profesorów, jak niemniej swych zamożniejszych kolegów. Znajdowali się też studenci, którzy rzemiosłem zarabiali na chleb. Spotykamy się w aktach rektorskich z jednym z takich biedaków, gdy się sędownie upomina

o zapłatę 8 groszy za naprawę, czy też uszycie futerka swemu koledze. Kolegą tym jest ów, znany nam już Kasper z Preszowa. Widocznie nie było w jego zwyczaju płacić nietylko gospodyniom za utrzymanie, ale także i kolegom za wygodzenie.

Ówczesny europejski charakter naszego uniwersytetu sprowadzał doń młodzież chciwą wiedzy z różnych stron Europy. Potrzebowała ona nieraz porozumiewać się ze swymi rodzicami, a brak był łatwej i szybkiej komunikacji. Porozumiewano się z rodziną zazwyczaj przez kupców. Bogatsi jednak studenci z zagranicy nie czekali na tego rodzaju przypadkową okazję, ale, jeżeli tylko stać ich było, wysyłali do ro-



Osiol. Nauczyciel za katedrą objaśnia tekst; w rękę trzyma różgę. Uczniowie siedzą na niskich stołeczkach i pilnie słuchają. Jednemu kolega nałożył jako karę za lenistwo oślą głowę i drwi z niego. Wszyscy w strojach kleryckich (Zamorenensis, *Spiegel des menschl. Lebens*, Augsburg 1479).

dzinnego domu umyślnych gońców. Tego zadania zaś podejmowali się ubodzy studenci. Zapłata zależała od ugody, zwykle za milę płacono  $1\frac{1}{2}$  gr. Gońcy tacy pędzili czasem na odległość kilkudziesięciu mil na Morawy, do Węgier lub Śląska. Panowie koledzy niezawsze poczuli się do obowiązku wynagradzania tego rodzaju usług, bo wiadomości, jakie czerpiemy o studentach kursorach, pochodzą wyłącznie ze skarg, które poszkodowani wnoszą do rektora na swoich pracodawców. Przypatrzmy się jednej z tych skarg.

Władysław z Bekieszu, ubogi student węgierski, obsługiwał innego studenta, również Węgra, imieniem Benedykt, który chociaż był bogatym zapewne, skoro miał obsługacza i był szlachcicem, przecież mieszkał w bursie ubogich. Władysław spełniał Benedyktowi najrozmaitsze posługi. Wypełniał wszystkie jego polecenia, był jego pisarzem i sługą zarazem. W jego sprawach gonił w różne strony świata i do Wrocławia i do Węgier, a przecież pomimo tego, że się kilkakroć upominał o zapłatę, Benedykt bynajmniej nie myślał o zapłaceniu swego długu. Ot, niedawno nawet udawał się z jego polecenia do jego rodziców na Węgry, daleko, bo aż 70 mil od Krakowa mieszkających. Za to wszystko żąda on niewiele, bo tylko 2 flor. zapłaty za cały rok, a przecież gdyby po  $1\frac{1}{2}$  gr. liczył sobie milę, to za samą podróż do Węgier należałoby się mu 35 gr. Rektor wysłuchawszy stron obu, nie przyznał całej sumy Władysławowi, ale tylko połowę, tj. 1 flor. Dlaczego tak mało? Wyrok nie nam nie tłumaczy. Zdaje się,

powód tu był ten, iż Bekiesz widocznie był na utrzymaniu owego Benedykta. Otrzymywał za usługi mieszkanie, wikt, może i odzież, a nadto równocześnie był studentem, uczył się, więc chyba nie zarobił tak wielkiej sumy, jaką przedstawiały 2 flor. Wprawdzie służący w tych czasach zarabiał zasługi do 2 flor. rocznie, ale też był już zupełnie na usługach swego pana. Tutaj chyba wiele pracy koło jednego studenta nie było. Uważano go raczej za towarzysza, niż za sługę, i uznano, że zapłata 1 flor. wystarcza. I jeżeli zważymy, że studenci często za samo mieszkanie w kolegjach i bursach obowiązani byli do posług, do spełniania wszystkich poleceń swych przełożonych, to uznamy wyrok rektora za słuszny.

Charakterystycznym rysem, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, ówczesnej młodzieży kształcącej się, jest podejmowanie się każdej uczciwej pracy. Widzieliśmy studenta z igłą w ręce i naprawiającego szaty bogatszego od siebie kolegi, widzieliśmy ich jako gońców dążących w różne strony świata, a nawet spełniających wstrętną funkcję grabarzy... Nie zdziwimy się też, jeżeli akademika ówczesnego zobaczymy z kwartą w ręku za szynkwasem jako kelnera. Jan Medyk bowiem, słynny studencki winiarz, przy ul. Wiślniej naprzeciw bursy ubogich, trzymał u siebie kelnerów studentów. W r. 1517 był nim niejaki student Stanisław Kleczkowski, zwany Gagatkiem lub Jagatkiem. Mieszkał on w domku uniwersyteckim tuż obok bursy węgierskiej. Jednakoż Medyk bynajmniej nie jest z niego zadowolony. Oto dał on Jagatkowi 5 kuf wina do wyszynko-

wania; po wyszynkowaniu miał mu Jagatek oddać pieniądze — tymczasem Kleczkowski wino wyszynkował, a Medyk pieniędzy nie otrzymał. Kosztowało zaś wino 22 flor. Pozywa więc Medyk Gagatka przed sąd. rektorski o zapłacenie mu należności za 5 kuf wina. Ale to trzeba było udowodnić świadkami, a tego Medyk nie potrafił dokonać. Gagatek zaś nie tylko zaprzeczył wszystkiemu najsolennie, ale jeszcze przysięgą stwierdził, że jako „kelner u Jana Medyka wyrachował się uczciwie z każdej kufy wina“ (*pincerna vini apud Ioannem Medyk iuste sibi de unoquoque vase respondit*). Sprawa ta ciągnęła się wcale długo, bo od 15 kwietnia 1517 r. do 23 maja t. r. Medyk, nie mając świadków, wobec przysięgi Gagatka musiał zamilknąć, zgodzić się na wyrok i zapłacić kosztu procesu w kwocie 15 gr. Ale nie dosyć na tem. Gagatek uwolniwszy się od zarzutu sprzeniewierzenia pieniędzy, występuje z pretensjami do winiarza. Oto służył on u niego przez 22 tygodnie, wyszynkował przez ten czas 5 kuf wina (właśnie te, za które pieniądze miał nie oddać), za to mu się należy 2 flor. Sprawa to jakoś pokręcona. Oskarżyciel staje się oskarżonym i naodwrot. Medyk bowiem widocznie za oszczerstwo znowu skarży Gagatka i ten musi dać nawet porękę rektorowi, że się z Krakowa nie wyniesie, ni z diecezji krakowskiej. Jak się ostatecznie sprawa zakończyła, nie wiadomo. Z dniem 15 lipca 1517 r., tj. od chwili złożenia przysięgi, że nigdzie bez wiedzy rektora nie wyjedzie, milknie wszelka dalsza wiadomość

o Kleczkowskim i to nietylko w tej sprawie, ale wogóle.

Osobistość zresztą Gagatka i zakończenie jego sprawy niewiele nas tylko obchodzi. Nas interesuje przede wszystkim ta okoliczność, że studentów spotykamy jako kelnerów. To jest bardzo ciekawe i charakterystyczne. Zaciekawia nas też, ile taki student-kelner mógł zarabiać, pod jakimi warunkami pełnił funkcję kelnera, a dalej, czy tego rodzaju zajęcie studentów było powszechniejszem. Zaczniemy od ostatniego. W aktach rektorskich spotykamy tylko jednego studenta kelnerem. Ale czy to ma znaczyć, że był tylko jeden taki wypadek? Nie sądzę. To właśnie, że spotykamy studenta-kelnera przed sądem, świadczyć tylko może, że z niego winiarz był niezadowolony, posądzał go o nierzetelność. Wielu



Zacy XVI w. w opalach egzaminowych. Strój wskazuje na Polaków.

zaś mogło być takich, którzy się tak sprawowali uczciwie, iż nie potrzebowali stawać przed sądem i przez to uniemożliwili nam tę sprawę wyjaśnić.

Ile mógł taki student-kelner pobierać wynagrodzenia? Z zeznania świadków dowiadujemy się, że Kleczkowski miał całe utrzymanie, a sam się nadto chwalił, że obok tego miał 8 gr. tygodniowo. To trochę za dużo. Tyle mogła wynosić pensja zwykłego kelnera, który innych obowiązków oprócz kelnerstwa nie miał, ale nie studenta uniwersytetu, który prawdopodobnie dorywczo tylko zajmował się szynkowaniem. Wszak pensja stróża nocnego wynosiła w tych czasach tygodniowo tylko 6 gr. Tak wielkiej sumy Kleczkowski stanowczo pobierać nie mógł, tem bardziej, że kiedy żądał wynagrodzenia za 22-tygodniową pracę, to domagał się tylko 2 flor., tymczasem gdyby miał pobierać po 8 gr., to powinienby się domagać co najmniej 5 flor., skoro za sługa za 22 tygodnie wynosiłaby 5 flor. 26 gr. Nie mógł też i Medyk płacić studentowi-kelnerowi nie tylko tak wielkiej sumy, ale nawet wogóle tygodniowo. Jak już wyżej zauważyliśmy, student był przede wszystkim studentem, więcej powinien pilnować nauki, niż szynkowania. Nie mógł on całego czasu, jak kelnerzy z zawodu, poświęcać kelnerstwu, nie mógł też tyle pobierać nagrody. W jaki więc sposób mu płacono? Znajdujemy na to pytanie odpowiedź w skardze samego Kleczkowskiego. Otóż w skardze swej mówi on, „że wyszynkował 5 półkuf wina, za co żąda 2 flor.“ (*se propinasse quinque medius cufjas, pro quibus requirit precium duorum*

*florenorum*). Ponieważ zaś owe 5 półkuł cenił sobie Medyk na 22 flor., a zatem Kleczkowski domagałby się mniejwięcej 10 procent wartości wina.

Przyjrząwszy się niektórym sposobom utrzymania studentów w wiekach dawniejszych, przyjrzymy się teraz, ile to utrzymanie mogło kosztować ówczesnego studenta. W bursach stałych kosztowało ono bardzo niewiele, bo tylko 2 gr. tygodniowo; wystarczało to już i na mieszkanie i utrzymanie całkowite — o innych bowiem składkach na wspólne obiady i śniadania nie słyszymy. Miesięcznie więc wynosiłby cały rachunek bursaka tylko 8 gr. Jeżeli dodamy do tego 2 gr. na inne drobne potrzeby, to otrzymamy sumkę 10 gr., która w zupełności bursakowi mogła wystarczyć, zwłaszcza, jeżeli miał ubranie. Całoroczne utrzymanie bursaka mogło kosztować 4 flor., z ubraniami do sześciu. Servitorzy i mieszkanie i wikt, a zarazem i ubranie, mieli od tego, komu służyli. Więcej już kosztowało utrzymanie gracjalistów, którzy jadali przy wspólnym stole z profesorami. Składka ich wynosiła do czasów rektoratu Marcina Krokiera  $5\frac{1}{2}$  gr. tygodniowo. Za tego bowiem rektora zapadła uchwała, że wkładka tygodniowa z powodu drożyzny ma wynosić odtąd 7 gr. na tydzień, a oprócz tego rocznie na rozmaite potrzeby kolegijum 54 gr. (24 gr. w półroczu letnim, 30 w zimowym). Roczne utrzymanie kosztowało gracjalistę przed Krokierem:  $5\frac{1}{2}$  gr.  $\times$  52 = 286 gr. = 9 flor. 16 gr., zaś wraz z dodatkiem owych 54 gr., 11 flor. 10 gr. Od czasów Krokiera koszta się podniosły; wynoszą one:  $7 \times 52 + 54 =$



418 gr. = 13 flor. 28 gr., naturalnie bez ubrania, bo gdybyśmy chcieli i ubranie włączyć w nasz rachunek, w takim razie musielibyśmy kosztorys rocznego utrzymywania gracjalisty podnieść choćby o 3 fl., co w pierwszym razie wyniosłoby fl. 14, w drugim - 17.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z tymi, którzy mieszkali prywatnie (*in hospicio*). I oni wprawdzie, jeżeli mieszkali gdzieś u krewnych lub też u biednych rzemieślników, mieli tańsze utrzymanie, zwłaszcza, jeżeli rodzice mogli im dowozić wiktuałów, w każdym razie jednak musiało więcej ich kosztować, aniżeli bursaków lub nawet gracjalistów. Mieszkanie kosztowało nieraz prawie tyle, ile utrzymanie gracjalistów. Spotykamy się z notatkami, że za samo mieszkanie płać studenci po 8 gr. tygodniowo. Całe jednak utrzymanie z mieszkaniem można było otrzymać za 12 gr. na tydzień, 12 gr. bowiem policzyła sobie owa Barbara Kasprowa, kiedy Kasper z Preszowa był u niej przez 18 tygodni na utrzymaniu. Można jednak było dostać i taniej, bo za gr. 10. Kiedy bowiem Kuncza Wolf, obywatel krakowski, zaskarżył niejakiego studenta Piotra z Siedmiogrodu o dług za utrzymanie i domaga się po wiardunku za tydzień, wtedy student ów nie chce dać tak wielkiej sumy, bo inni studenci, jak twierdzi Piotr, u niego mieszkający, płać tylko po 10 gr. Wprawdzie tego nie umiał udowodnić, ale przecież i rektor sam uznał 12 gr. tygodniowo za zbyt wysokie wynagrodzenie i skazał Piotra na zapłacenie długu, ale tylko po 11 gr. Zdaje się więc, że i za 10 gr. można było dostać utrzymanie.

Pozostawał tylko ubiór. Gdybyśmy przyjęli, że na ubranie każdego tygodnia dodawał student 2 gr., to całe utrzymanie studenta tygodniowo wynosiłoby 12 gr., co czyni rocznie  $52 \times 12 = 624$  gr. czyli fl. 20 gr. 24, lub 13 grzywien. Cyfra ta jest tem prawdopodobniejsza, że i w Niemczech utrzymanie studenta z tych czasów wynosiło fl. 20. Jeżeli jednak samo utrzymanie bez ubrania kosztowało studenta 12 gr. tygodniowo, tak jak tego żądała Kasprowa, w takim razie trzeba przyjąć, że z ubraniem mogło kosztować go do 15 gr., czyli rocznie  $52 \times 15 = 780$  gr. Zamieniwszy to na floreny, otrzymamy okrągłą sumę 26 fl. A zatem roczne życie studenta kra-



Siedem sztuk wyzwolonych (drzeworyt z Rodericus Zamorensis, *Spiegel des menschlichen Lebens*, Augsburg 1479)

kowskiego w w. XV i XVI wynosiłoby od 20—26 flor. Naturalnie, że cyfra ta tyczy się przeciętnie za-  
możnego studenta. Byli bowiem zapewne i tacy, dla  
których i podwojona nie wystarczyłaby, i tacy, któ-  
rzy połową jej chętnieby się zadowolnili. Suma bo-  
wiem 20 flor. 24 gr. czyli 13 grzywien nie jest sumą  
małą, jak na ówczesne czasy. Aby się przekonać,  
jak wielkie miała znaczenie w tych czasach suma  
20—26 flor., rzućmy okiem na stosunki innych lu-  
dzi, na zarobki robotników, a dalej na ceny arty-  
kułów spożywczych i zwierząt; rzućmy okiem i na  
wartość sukien w tych czasach, wtedy bowiem do-  
piero będziemy mogli usprawiedliwić to nasze, jakby  
się zdawało, samowolne wkładanie do rocznego bu-  
dżetu studenta dodatku na suknie.

Przeciętna dzienna płaca robotnika w w. XV  
wynosiła 1 gr. Byli jednak robotnicy, którzy zara-  
biali dużo więcej. Ot tacy np. robotnicy murarscy,  
którzy zresztą i dzisiaj pod względem zarobków są  
uprzywilejowanymi, zarabiali tygodniowo po 20 gr.,  
tzn., że na każdy dzień roboczy przypadało im po  
3 gr., a nadto pozostawało 2 gr. na niedzielę. Mało  
gorzej od nich stali robotnicy ciesielscy. Czeladnicy  
bowiem pobierali tylko o 2 gr. mniej na tydzień,  
aniżeli murarscy, czyli na każdy dzień roboczy przy-  
padało im okrągło po 3 gr. Ale też to byli czelad-  
nicy wyćwiczeni w swem rzemiośle. Zwykli bowiem  
najemnicy „rybaldzi, którzy ciągnęli drzewo do gó-  
ry“, zarabiają o połowę mniej, bo po 9 gr. tygod-  
niowo, czyli  $1\frac{1}{2}$  gr. dziennie. Służący, odźwierni,  
stróżowie w dobrach królewskich pobierali oprócz

odzienia i wikt 1 grzywnę zasługi na rok, zaś pozostający w usługach miasta dzwonnicy, nocni stróże, woźni (*jamuli praetorii*) pobierali w w. XV i początkach w. XVI zaledwie gr. 6—8 tygodniowo. Dopiero później, bo już w połowie tego wieku, podwyższa im miasto płacę do 10 gr.

Obliczamy, ile mógł wynosić roczny zarobek tych ludzi. Bardzo niewiele. Oto takiego pachołka miejskiego, zarabiającego tygodniowo 6 gr., suma rocznej płacy wynosi zaledwie 7 grzywien lub 10 fl. 12 gr., zaś tego, który zarabia tygodniowo gr. 10, roczna płaca wynosi 10 grzywien 40 gr., czyli fl. 17 gr. 10. Dużo większą co prawda, wypadłaby płaca robotników murarskich i ciesielskich, ale tutaj musimy wziąć pod uwagę w rachubę tę okoliczność, że rzemieślnicy ci dlatego tylko tak wiele zarabiali, iż mogli pracować tylko w porze sposobnej do pracy, tj. co najwyżej w trzech porach roku cieplejszych, a co najmniej przez przeciąg czterech miesięcy byli bez pracy. Trzeba też zauważyć, że nie zawsze chyba mogli mieć zajęcie; zarabiali wtedy, kiedy się im sposobność nadarzyła, podczas gdy tacy pachołkowie miejscy byli w służbie stałej, a pobierali też od miasta i ubranie. Jeżeli więc uwzględnimy te okoliczności, to stanowczo roczny zarobek wyżej wzmiankowanych robotników nie wynosił więcej od dochodów miejskiego pachołka.

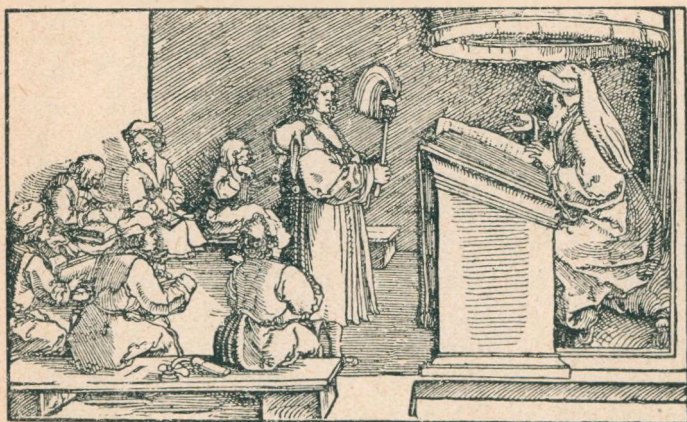
Porównajmy teraz wydatki na utrzymanie studentów z zarobkami porzednio omówionemi. Otóż jeżeli studentów roczne utrzymanie kosztowało przeciętnie 20 fl., w takim razie wydawał student na

swe utrzymanie prawie o 3 floreny więcej, aniżeli zarabiał pachołek miejski w drugiej połowie XVI w., o 10 fl. zaś prawie więcej, aniżeli zarabiał stróż miejski jeszcze na początku tegoż wieku. Suma więc, jaką wydaje student na utrzymanie, w porównaniu z zarobkami miejskich pachołków, jest bardzo wielką. A przecież taki stróż lub dzwonnik miejski nie spożytkował wyłącznie sam swego zarobku. Musiał on za to wyżywić jeszcze i żonę i dzieci.

Cóż więc można było kupić za sumę, która wydaje się tak małą, a przecież jest tak wielką? Jakie były ceny wiktuałów, ubrania i innych przedmiotów, o ile możliwości będziemy się starali to przedstawić. Wołu można było kupić z początkiem XV w., i to „za dobrze tłustego“, za 1 grzywnę 6 gr. Przeciętnie wół kosztował w w. XV kopę groszy. W w. XVI, szczególnie w drugiej połowie tego wieku, kiedy gospodarstwo krajowe spotężniało, wartość pieniędzy się obniżyła, już trzeba było zapłacić za wołu do 2 kóp gr. Wieprz tłusty kosztował w w. XV 16—20 gr., zaś barana można było dostać za 5—12 gr. Za 5 serów płacono 1 gr., za 10 jaj 5 gr., za 10 zaś grzywien można było dostać na kresach całe gospodarstwo, prawie że folwark z lasami, gruntami i pastwiskami, 10—12 kóp gr. kosztowała włóka gruntu w zachodniej stronie kraju. Pachołek więc miejski, którego płaca w w. XV wynosiła 6 gr. na tydzień, mógł sobie za całotygodniowy zarobek kupić barana, a czasem został mu 1 gr. na 5 serów; za płacę miesięczną mógł sobie już kupić tłustego prosiaka, zaś zarobkiem półtrze-

cia miesiąca nabywał wołu. W w. XVI, już w drugiej jego połowie, pobierał pacholek miejski więcej co prawda, bo 10 gr. tygodniowo, ale też i wół był droższy, bo musiał zań dać zarobek trzymiesięczny lub nawet więcej.

Student więc, który na utrzymanie swe wydawał tygodniowo 10—12 gr., musiał stać o wiele lepiej od robotnika, skoro wydawał prawie dwa razy więcej, aniżeli robotnik pobierał płacy. Wydawał on tyle, że za koszt rocznego utrzymania mógł sobie zakupić gdzieś tam na kresach całą posiadłość wraz z lasami, polami i łąkami, lub też w zachodniej stronie kraju włókę gruntu i jeszcze mu kilka florenów w kieszeni zostało.



Leniwy uczeń stoi przed nauczycielem, który go napomina. Na głowie nosi uczeń czapkę z oślemi uszami i dzwonkami, w rękę trzyma trzepaczkę na muchy (drzeworyt z Petrarca, *Trostspiegel*, Augsбург 1539).

A teraz przejdźmy do cen ubiorów. Tutaj aczkolwiek mamy materiały i z innych źródeł, będziemy się posługiwać tym, który nas najbliżej obchodził, Aktami rektorskimi. W nich bowiem znajdują się wielokrotne wzmianki o cenach ubiorów studenckich.

Zwykły ubiór studenta stanowiła tunika, płaszcz, buty i czapka — futra należały do zbytków, mógł sobie na nie pozwolić tylko bogatszy. Ileż więc kosztowały te części ubioru? Kosztowały różnie. Zależało to do jakości materiału i od jakości roboty. Tunikę ze zwykłego, czarnego sukna czeskiego i zwykłej roboty można było kupić za florena lub za grzywnę. Były jednakowoż tuniki i po 2 i 3 flor., a nawet po 10 dukatów. Płaszcz można było kupić za groszy kilkanaście, można też było zapłacić zań i kilka florenów. Z biretem razem płaciło się 24 gr. Buty kosztowały gr. 3—4, za parę trzewików płacili studenci po  $2\frac{1}{2}$  gr. A jeżeli któryś chciał mieć modne z długimi nosami, w takim razie zapłacił gr. 10. Czapka kosztowała groszy kilka, można ją było otrzymać za gr. 5—8. Była to zwykła czapka barania, za powleczoną bowiem czamletem trzeba było zapłacić gr. 15, a zdobne kitajkami, złoceniemi piórami, lub ze złotymi przepaskami musiały być jeszcze droższe. Futro, a raczej kozuch płaciło się po  $1\frac{1}{2}$  fl., futro z zajęcy kosztowało 3 dukaty, zaś wilczura 9 fl. Jeżeli więc przeciętnie zamożny student chodził w tunice wartości 48 gr. (1 grzywna)

rocznie kupował 2 czapki po 5 gr.	10 „
2 pary trzewików	5 „
za delię płacił . . . . .	20 „
razem . . . . .	83 gr.

to razem wydatki na najpotrzebniejsze części ubrania wynosić będą 83 gr. czyli 3 fl. bez 7 gr. Jeżeli zaś te 7 gr. dodamy na inne wydatki, jak bieliznę, kaptany itd., to dojdziemy do okrągłej sumy 3 flor.

Jednakowoż suma ta jest nawet trochę za duża, trzeba bowiem zauważyć, że takiej tuniki czy delji (palium), a zatem sukni, największą różnicę robiących w jego budżecie, nie potrzebował chyba corocznie kupować ówczesny student, dlatego też do owej sumy 3 fl. możemy wstawić i wszystkie inne jego wydatki na potrzeby szkolne.

Nie wszyscy jednak studenci byli w możności zebrać przez rok tyle, by im wystarczyło na życie, nie wszyscy też mogli znaleźć pomieszczenie wraz z utrzymaniem w bursach lub kolegjach przy profesorach. Wielu otrzymało tylko wolne mieszkanie, bez wikt. O wikt musieli się dopiero sami starać. Otóż ci wszyscy uczniowie, nie mający utrzymania, zmuszeni byli żyć z jałmużny. Przy furtach klasztornych, przy drzwiach domów mieszczkańskich otrzymywali oni skromny posiłek. Mieszkali głównie po szkołach parafjalnych. Podzieleni byli na pewne oddziały, każdy oddział miał swego przełożonego (praeceptor), który obowiązany był wśród uczniów przestrzegać porządku, za wszystko, co się w jego oddziale stało, on był odpowiedzialny. Zwał się praeceptorem żaków z żebrania żyjących, później zwaną go także „ojcem żebraczej młodzieży“ (*pater mendicantium*). Ci to żacy żebrzący włóczyli się po ulicach miasta, a nawet po okolicy, dopuszczając się często najrozmaitszych wybryków. Wszelkiemi



sposobami wyłudziali oni datki od dobroduszych wieśniaków. Szczególniej w Niemczech na wielką skalę to praktykowano. Trudniono się tu egzorcyzmami, zaklinaniem żmij, poświęcaniem roli, sprzedażą rzekomych relikwii, udzielaniem zmyślonych odpustów, wogóle wszystkim, co tylko mogło przynieść jakikolwiek dochód. A publiczność poczciwa litowała się nad nędzą tych biedaków i pomagała im jak mogła. Nic też dziwnego, że tę przychylność publiczności dla ubogiej kształcącej się młodzieży starali się wyzyskać rozmaici oszuści i kuglarze. Przebierali się oni za studentów i pod ich nazwą wyłudziali na łatwowiernej publice pieniądze. To też było powodem, że w końcu XV w. powstał zwyczaj wydawania przez rektora żebrzącej młodzieży świadectwa, upoważniającego ją do proszenia o jałmużnę. Seniorowie, a raczej rektorowie szkół, obowiązani też byli zawsze utrzymywać listę ubogich studentów, żyjących z jałmużny, przedkładać ją rektorowi uniwersytetu „by wałkonie do szkół nie należący i samopas puszczeni innym uczniom jałmużny nie zabierali“. Opatrzeni takimi świadectwami śmiało już naprzykrzali się mieszkańcom po domach, ulicach, a nawet w kościołach, postępując tuż za dzwonkiem, „żałośnemi grymasami“ wzywali do litości pobożną publiczność. Aby zaś pobudzić ją do większej ofiarności, śpiewali rozmaite pieśni, szczególnie o św. Marcinie, przypominając wielką szczodroliwość tego świętego i litość nad ubogimi.

Młodzież żebracza w czasie tych swoich żebranin, na które wychodziła gromadnie, doprowadzała do najrozmaitszych wybryków. Wszystkie większe

tumulty i rozruchy studenckie od niej wychodziły. I owo zajście z r. 1549 z czeladzią księcia Czarnkowskiego, które spowodowało wyjście żaków z Krakowa, i ową walkę uliczną w następnym roku<sup>1)</sup> oni sprowadzili. Rozruchy zaś wszczynane przez tych 'żebraków' były tak niepokojące ludność krakowską, że nawet sami królowie byli zmuszeni wydawać pewne instrukcje rektorom i nauczycielom, jak się mają z nimi obchodzić. I kiedy w r. 1578 Stefan Batory wydaje dla Krakowa *Postanowienie względem dobrego w mieście porządku*, to nie zapomina i o nich. Poleca on profesorom szkół, by mieli zapisane nietylko nazwiska młodzieży z jałmużny żyjącej, ale także i pewne, wyszczególniające ją zna-



Satyryczne przedstawienie szkoły kierowanej przez zaspanego nieuka (miedzioryt Piotra Mirisceny'ego według Breughela Starszego z r. 1557).

miona cielesne; a dalej, by jej nie pozwalali włóczyć się po mieście, jak tylko w czasie obiadów i śniadań, kiedy musi zebrać. Tylko za pozwoleniem seniora wolno miało być żakowi wyjść na miasto także w innym czasie; przekraczający zakaz miał być za trzecim razem wykluczony ze szkoły.

Skąd się rekrutowała zebracza młodzież? Z warstw niższych społeczeństwa. *Pauperes* to byli po większej części synowie chłopów lub też ubogich mieszczan, rękodzielników. Jeszcze bowiem szlachta nie zmonopolizowała dla siebie samej prawie nauki, jeszcze wolno było się uczyć i nieszlachcie. Dopiero w w. XVI obostrzyła szlachta dostanie się synowi 'krwie nieszlacheckiej' na uniwersytet. Uniwersytet sam zawsze popierał ubogą młodzież, troszczył się wielce o los jej, nie zważając na jej urodzenie. Nie wspominamy tu już o servitorach, gracjalistach, o udzielaniu mieszkania w kolegjach. Wspominamy o czem innem. Przy egzaminach składało się pewne taksy, otóż ubodzy studenci mogli być uwolnieni od opłaty w całości lub części. Mogło się to stać na ich prośbę, musieli mianowicie wykazać, „że ani obecnie nie mają, ani też (na przyszłość) nadziei z czegoby mogli zapłacić“. Opłaty zaś egzaminacyjne składały się z dwóch części: 1. z opłaty dla egzaminatorów i promotorów, 2. opłaty dla uniwersytetu. Jeżeli kto zdawał egzamin pierwszy, tj. bakalaureat, to płacił mniej, bo tylko 2 flor. węgierskie; przy promocji na magistra płacono o połowę więcej, tj. 3 flor. Zawsze jednak z tej sumy 1 flor. szedł do kasy uniwersyteckiej, a reszta dla profesorów. Otóż ubodzy studenci mogli być uwolnieni tylko od opłaty

dla profesorów, kwotę należną kasie uniwersyteckiej zapłacić musieli. Jeżeli zaś studenci byli tak ubodzy, że nawet na zapłacenie 1 flor. nie stać ich było, to uniwersytet mógł skredytować, pozwalał zapłacić wtedy, „gdy się im tłuściejsza fortuna uśmiechnie“ (*arridente eis pinguiori fortuna*). Od tego wyjątek stanowili tylko studenci, którzy byli servitorami u profesorów, co najmniej od dwóch lat. Oni bowiem bywali uwalniani nawet od opłaty dla uniwersytetu. Uwolnienie zaś od tych opłat było wielką ulgą dla ubogiej młodzieży, były one bowiem wysokie. Za opłatę przy osiągnięciu stopnia bakałarza mógł ówczesny student mieć utrzymanie co najmniej przez 1 1/2 miesiąca, przy magisterjum dwa miesiące. A były to opłaty najniższe. Droga nadużyć bowiem wymuszali profesorzy od kandydatów i więcej, tak że uniwersytet, „by zagrozić drogę chytrej chciwości i złagodzić ciężar promocji i jej kosztu“, widział się zmuszonym *de novo* powtórzyć ustawę o opłatach egzaminacyjnych, dawniej już wydaną.

Obok dobrodziejów prywatnych, którzy młodzieży starali się dopomóc jałmużnami, obok klasztorów, kościołów, uniwersytetu, także i miasto Kraków przychodziło z pomocą biednym studentom. Łaski jego doświadczali szczególnieżacy ze szkoły marjackiej jako szkoły miejskiej. W r. 1571 otrzymał pewien student niemiecki 12 gr., dwaj inni chorzy i ubodzy, również Niemcy 15. W rachunkach miejskich krakowskich jest też pozycja pt. *Elemozina*. Otóż w pozycji tej rok w rok spotykamy się z wydatkiem 1 grzywny, dawanej przez radę miej-

ską żakom od N. P. Marji w Wielki Piątek na śniadanie. Większą szczodroblewością odznacza się miasto w razie rzeczywistej potrzeby. W r. 1559 nawiedziła miasto Kraków wielka zaraza. Trwała ona przeszło pół roku. Rozpoczęła się z wiosną tego roku, a skończyła w zimie, tak że wykłady mogły się rozpocząć dopiero w drugiej połowie grudnia. Zaraza ta rozszerzyła się przedewszystkiem wśród ubóstwa, aż wtargnęła i do owego przytuliska biedy, do bursy ubogich. Wprawiała ona ubogich studentów w wielce przykre położenie. Przedtem może mieli jakieś zarobki, teraz wśród ogólnego popłochu, gdy każdy tylko myślał o swoim życiu, trudno im było zapewne otrzymać nawet swą zwykłą jałmużnę. Ciężkie to musiały być czasy dla żaków, tem bardziej, że w takich wypadkach zamykano zazwyczaj bramy miasta, by się zaraza nie rozszerzała. W tak ciężkiej chwili szkolarzom od N. M. Panny przychodzi z pomocą miasto i przez pięć miesięcy, bo od 15 lipca prawie do końca listopada regularnie co tydzień płaci im 12 gr. na utrzymanie.

Szpital św. Ducha dbał również wielce o dobrobyt swoich żaków. Specjalnie na ich utrzymanie pobierał on pewne czynsze od miasta. Już od początku daje miasto biednym a chorym studentom w szpitalu św. Ducha 17 grzyw. 24 gr., w r. 1560 przybywa szkole św. Ducha, a raczej jej uczniom, nowy czynsz i to wcale pokaźny, bo wynoszący 31 grzywien 12 gr. rocznie, pobierany w dwóch ratach, na Wielkanoc i św. Michała. Odtąd w Rachunkach miasta Krakowa obok rubryki *Scholaribus pauperibus in*



Maciej Morawa, Szkołka wiejska. Bakalarz bije chłopca łyżką po głowie, inni uczniowie skupili się koło katedry, przypatrując się chłście. Na prawo grupa wieśniaków, zapewne rodziców, z uznaniem śledzi scenę. Sztych ten wykonał artysta-Polak w r. 1654; obecnie w Muzeum Narodowym w Krakowie.

*hospitali s. Spiritus* (17 grz. 24 gr.), przeznaczonej dla wszystkich studentów chorych, bez względu na to, czy są żakami z tej szkoły, zjawia się rubryka: *Ad hospitale s. Spiritus pro educatione et victu puerorum*.

Wiadomość o zarazie, wzmianki o studentach chorych mimowoli nasuwają nam pytanie, co się też działo z nimi w razie choroby? Gdzie ich umieszczano, kto się nimi opiekował? O tem już zapewne zaraz w pierwszych latach po założeniu uniwersytetu pomyślano. Wielka bowiem ilość studentów, i to po większej części ubogiej młodzieży, właśnie z powodu swego ubóstwa, z powodu nędzy, niedostatku i nieregularności w życiu musiała dostarczać znaczного kontyngentu chorych w Krakowie. Zawczasu też pomyślano o szpitalu dla nich. Z początku przeznaczono dla studentów szpital drewniany u św. Ducha, ale w r. 1464 runął. Potrzeba było budować nowy, murowany. Poczęto się krzątać koło zbierania składek i dzięki nawoływaniu do ofiarności społeczeństwa przez biskupa Jana Gruszczyńskiego, a nawet samego legata papieskiego, biskupa lewentyńskiego, Rudolfa, którzy odpustami zachęcali publiczność do składania datków na budowę, po dziesięciu latach w r. 1474 stanął szpital studentki, przy szpitalu św. Ducha, zupełnie gotów. Odtąd już biedni a chorzy studenci mogli tam znaleźć umieszczenie.

W r. 1528 poza murami m. Krakowa, powstał jeszcze jeden szpital, był to szpital św. Rocha. Przeznaczony był on początkowo dla chorych na zarazę.

Szpital ten z czasem staje się również żakowskim. Zdaje się, że nawet szpital żakowski św. Ducha zaniknął, a pozostał ten u św. Rocha.

Kto stał na czele szpitala? Zawsze jakiś ksiądz, a ten miał do pomocy matkę szpitalną lub gospodarza. Obok nich spotykamy tylko w r. 1599 kucharkę szpitalną, a kilkadziesiąt lat później i dziada „dla wysługi chorym y co z koszem po chleb chodzić“. To już jest cała czeladź szpitala żakowskiego. Płaca jej w w. XVI i początkach XVII nie wiele wynosiła. Ksiądz kierujący szpitalem pobiera rocznie 10 flor., matka szpitalna fl. 3 gr. 6, kucharka fl. 1 gr. 18. Naturalnie, że oprócz tego mieli wikt i mieszkanie, z wyjątkiem kierownika, bo on zamiast wikt pobierał tygodniowo 6 gr.

W wieku XVII, kiedy wartość pieniędzy się obniżyła, ksiądz kierownik pobiera aż 200 fl. rocznie, gospodarz fl. 16 a nadto 10 fl. na piwo, czyli rocznie 26 flor. Gospodyni samej płacy pobierała 24 flor., a nadto na piwo 12 fl., czyli rocznie 36 fl. Nawet ów dziad „dla wysługi chorym y co z koszem po chleb chodzić“ otrzymywał rocznie czystej płacy tyle, ile wynosiła w wieku ubiegłym płaca księdza zarządzającego, który je następnie przedkłada dwom rajcom jako prowizorom szpitala, a ci po przyjęciu przedkładają je znowu urzędowi radzieckiemu do zatwierdzenia.

Chorych bywało w szpitalu w różnych czasach rozmaicie. Czasem tylko 16, czasem jednak podwaja się ta liczba. Wikt studentów, przebywających w szpitalu był wcale dobry. Wiktuały z reguły zakupy-



wano na cały tydzień i tylko czasem, jeżeli któryś ze studentów był zbyt słaby, nie mógł jeść zwykłej strawy, dokupywano wtedy i wśród tygodnia dlań coś innego. Zwykłą strawą dzienną było mięso, „grucza z olejem“ (kasza) i chleb. Z jarzyn jedzono też czasem i kapustę, ale nową ‘zieloną’, a także i rzepę. Na Święta Bożego Narodzenia robiono większe zakupy, większe nieco przygotowania. W wilję Bożego Narodzenia zaś oprócz mięsa przygotowano rozmaitemi korzeniami także skopowinę, popijając przy tem piwem i winem. Napoju zaś tego w dniu tym nie żałowano chorym bynajmniej. W r. 1599, kiedy wszystkich chorych w szpitalu było 18, zakupiono dla nich piwa półachtelek za flor. 1 gr. 4, zaś w wilję dobrano jeszcze cały achtel piwa. To pożywienie i ten napiwek tyczyć się mógł zapewne zdrowszych nieco, inne bowiem potrawy otrzymywali więcej chorzy studenci. Dla nich z mięsa zakupowano głównie cielęcinę, przytem każdy chory dostawał też ‘jajca do poliwki’, kupowano im mleko, ‘miodek’, jabłka itd. Wogóle troszczono się bardzo o chorą młodzież.

Nie zawsze jednak pomogła troskliwa opieka matki szpitalnej. Mimo starań nieraz schorzały student rozstał się z tym światem. Ciało zmarłego powierzano grabarzowi szpitalnemu, który „za wykopanie dołu umarłemu“ otrzymywał gr. 6. Smutnym był koniec takiego biedaka. Nikt nie towarzyszył jego pogrzebowi... Grabarz wziął ciało, może tylko owinięte w słomę, skoro trumna przedstawiała większy wydatek, i sam zniósł je do grobu, za co otrzymywał nagrody osobno 1 gr.

Taki był nieraz koniec ubożego studenta. Życie jego było pełne łez i nędzy. Palony żądzą wiedzy chciał przewyciężyć wszystko, co mu stało na drodze. Ale nim doszedł do upragnionego celu, w twarde borykaniu się z nędzą niejednen zapewne padł złamany. Samotny — gdzieś w szpitalu kończył swój nędzny żywot — samotny przez życie młode, nie czuł przy sobie kochającej dłoni i przy śmierci. Płatna ręka 'matki' pocieszała chorego i ocierała pot ze schorzałego lica, płatny człowiek wynosił go na miejsce wiecznego spoczynku.



Wykład profesora. Profesor za katedrą czyta, uczniowie w ubiorach kleryckich słuchają w milczeniu; przed nimi otwarte książki (z druku Joh. Bapt. Cantalycius, *Epigrammata*, Wenecja 1493).

#### IV. OTRZĘSINY Z GRUBYCH OBYCZAJÓW

Uniwersytet średniowieczny to rodzaj cechu; profesorowie w nim byli niejako majstrami, bakałarze czeladnikami, a zwykli studenci uczniami czyli chłopcami. Jak też przyjęcie do cechu połączone było z różnymi obrzędami, nieraz dla młodego alumna wielce przykremi, tak samo i wstępujący na uniwersytet musiał przedtem przechodzić przez pewien obrzęd studencki, aby się stać studentem. Obrzędem tym były ostrzęsiny, a ci którzy im podlegali zwali się beanami.

Co to słowo oznacza? Skąd ono pochodzi? Do dziś nie jest ostatecznie wytłómaczonem. Dwa przypuszczenia przyjęte są w nauce. Może ono pochodzić od francuskiego słowa *bec jaune*, co oznacza na polskie pisklę, żółtodziób, lub też od dźwięku *be*, który wydają owce i cielęta. Do cieląt więc lub owiec przyrównywanoby beanów, bo podobnie jak tamte bez przewodnika się nie obeszły, nie wiedziały co bez niego począć i bekiem dawały wyraz swemu opuszczeniu, tak samo i *beanus* starał się zawsze tylko o towarzystwo starszego studenta — jeżeli go nie miał, nie wiedział gdzie się obrócić, chodził samotny jak młody byczek, szukający swej matki. Które z tych dwu przypuszczeń ma więcej prawdopodobieństwa? Zdaje się, że to pierwsze, bo i oryginał jest podobny, a nazwa żółtodzióbów na oznaczenie młodych chłopców, niedoświadczonych, do dziś dnia istnieje, oznacza zaś mniej więcej tyle, co nazwa beana, bo takiego, któremu brak doświadczenia, młokosa. Starsi też studenci wymyślali roz-

maite uszczypliwe zwroty na oznaczenie wyrazu *beanus*. Z pogardą i drwinami wyrażali się oni, że *beanus est animal nesciens uitam studiosorum* (bean to zwierzątko nieświadome życia studenckiego). Inni jeszcze inaczej drwili z beanów. *Beanus* mówili to *bestia amata nusquam* (zwierzątko nigdy nie lubione) lub też, że to *bestia equalis asino nihil uere sciens* (zwierzę podobne do osła niczego dobrze nie umiejące). Takimi i innymi, tym podobnymi słowy prześladowano beanów, drwiąc z nich niemiłosiernie. A oni słysząc podobne docinki drżeli przed samym obrzędem, w którym mieli rzucić z siebie beanię, stać się właścicielami, studentami. W czasach tych bowiem pomimo, że się ktoś zapisał u rektora w metrykę, przecież jeszcze nie był uznawany za studenta, nie był dopuszczonym do przywilejów uniwersyteckich, dopóki nie odbył uroczystego złożenia beanii.

Wykluczony student tracił te przywileje, powiadało się o nim, że wracał do beanu!

Co to była beania? Był to egzamin z cierpliwości, jakiej doświadczano na młodzieży, świeżo zapisanej na uniwersytet. Przez rozmaite udręczenia, nieraz tak okrutne, że potrzeba było prawdziwie świętej cierpliwości, starano się ją wypróbować. Miała też ta próba, to *examen patientiaae*, jak ją wówczas nazywano, na celu, w nowoprzybyłych zniszczyć złe, grube obyczaje, aby mogli być przyjętymi do grona studentów.

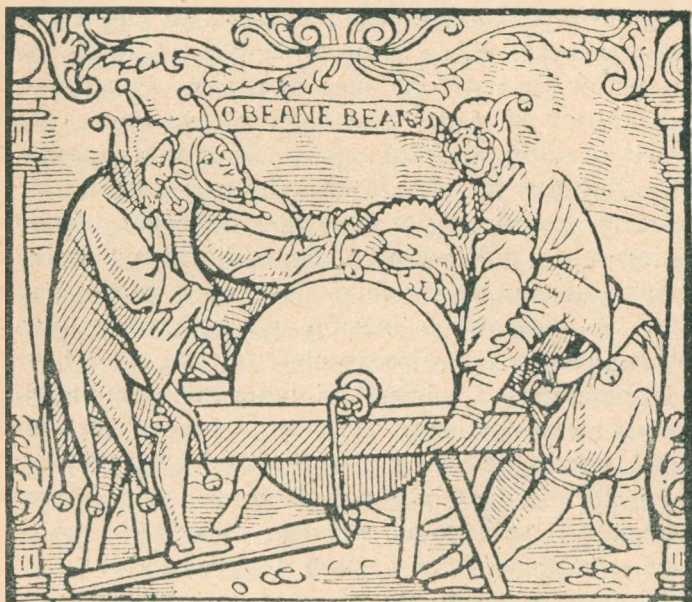
Czas powstania beanii odnoszą do bardzo odległych czasów. Już Sokrates, kiedy przybył do Aten w celach nauki, musiał złożyć egzamin cierpli-

wości, bo go zawleczono do łaźni, posmarowano twarz i w różny sposób męczono. Do nas zdaje się przybyła nie wcześniej, jak po odnowieniu uniwersytetu przez Jagiełłę, z wszechnicy praskiej, skąd ją zapewne przenieśli Czesi, dość licznie uczęszczający w tych czasach na nasz uniwersytet. Nie mało też lokalnych zwyczajów musiały przynieść ze sobą i inne nacje i razem utworzyły wspólny obrzęd depozycji beanów, czyli po polsku: *otrzęsin*.

Jak się te otrzęsiny u nas odbywały? Zapewne tak samo jak w Czechach i Niemczech — opisu bezpośrednio polskiego nie mamy. Aby więc mieć wyobrażenie o depozycji beanów w Krakowie, musimy przedstawić ją tak, jak wyglądała w Pradze i Niemczech.

Jak już wspomnieliśmy, prawdziwej trzeba było cierpliwości i wytrwałości przy tym egzaminie. W Pradze odbywały się te obrzędy w kolegiach, nie stale w jednym kolegium, ale naprzemian bądź w Karolinum, bądź w Greekiem i to albo w sieni, albo na podwórku. Działo się to w sierpniu między 8—21 dniem tego miesiąca. Mogły się jednak odbywać otrzęsiny i w innym czasie, a mianowicie z początkiem letniego półrocza, jeżeli nowi studenci się zjawili lub nawet i w innej porze, kiedybądź na życzenie samego beana. Zazwyczaj wszystkich beanów oprawiano razem. Ciekawym też musiał być widok otrzęsin kilkuset ludzi. Aby sobie sprawę uprościć, obierano czasem jednego z beanów na arcybeana i na nim się głównie obrząd ten dokonywał. Najstraszniejsze mę-

czarnie, jakie tylko mogli przeznaczeni depozytorowie wymyślić, na nim się skupiały, na nim się też skupiała i uwaga wszystkich. Uważano go niejako za nieociosany kłoc drzewa, który trzeba dopiero ociosać, oheblować, ogładzić. Arcybean musiał się jak martwy położyć na ziemi, a depozytorowie odmierzali go sznurem, obrzynali piłą, ciosali toporem i siekierą, aby wszystko co grube od niego odłupać, co szorstkie wygładzić. Golono mu brodę, choć był to jeszcze dzieciak, następnie brano się



Otrzęsiny. Opilowanie 'rogów' beanowi (Widebrand, *Curm. ver. de typo depositionis*, Wittenberga 1576).

do jego obmycia. Sam sobie na ten cel musiał przynieść wody w brudnym naczyniu, a gdy niósł, rzucano się nań, pluskano wodą w oczy i twarz, kułakowano go, chcąc, by upadł wraz z naczyniem. Wreszcie utarto mu twarz ścierą i uczesano grzebieniem, którego zęby były jak u grabi. Wśród tego przynoszono mu kałamarz, pióro i papier, żądając, by pokazał, jak pisze. Ale korek z kałamarzem był jednolity, trudno go było odetkać. Śmiano się więc i drwiono, „że ten bean nawet otwierać nie umie kałamarza“. Wkońcu podrzucano mu jeszcze list nibyto od matki, która narzeka w nim i płacze nad synkiem, że musi takie tyranje znosić od studentów, nazywa go pieszczoszkim, gołąbkim, cukierkiem. A biada, gdy bean wzbraniał się lub prosił o zlitowanie. Taki najwięcej musiał cierpieć.

Obrzędy te nie zawsze były jednakie, ale owszem zmieniały się stosownie do tego, jak co śmiesznego a dokuczliwego wynaleźli depozytorowie. I tak czasem, szczególnie dawniej z początkiem XVI. w. smarowano beanów po twarzy zgniłemi płucami, które od rojącego się robactwa trzęsły się jak galareta — a niemniej i innymi najwstrętniejszymi nieczystościami. Podstawą jednak otrzęsin było wsadzenie na drewnianego kozła, najchętniej też beanów porównywano ze śmierdzącym kozłem. Przypinano im przytem rogi, które następnie obcinano, jako symbol tępego umysłu. Po skończeniu obrzędu musiał bean depozytorom podziękować za złożenie z niego brudów i przysiąc, że za to, co mu przykrego wyrządzono, nigdy mścić się nie będzie.

Podobnie, chociaż z drobnymi lokalnymi zmianami, odbywała się ta uroczystość i w Niemczech. I tutaj uważano beana za kłodę krzywą, pogiętą, sękatą. A zatem, co krzywe trzeba wyprostować, co sękate obciąć. Udawano przytem, że coś śmierdzi, a któżby śmierdział, jeżeli nie bean, zwierzę śmierdzące? Grożono mu więc, że go tu zaraz oczyszczą. Przynoszono piłę, heble, dłuto, widły, grzebień, siekierę o wielkości i kształtach przesadzonych, wogóle te same narzędzia, któremi operowano w Pradze. Przyprawiano beanowi ogromne uszy, do ust wsadzano ogromny kiel świński. Mieczami drewnianymi ucinano mu uszy — symbol głupoty, ucinano mu również przyprawione rogi, drewnianymi zaś kleszczami wyrrywano owego zęba, a gdy kiel, choć niby wyrwany, jeszcze w ustach się trzymał, schwyciwszy za łeb beana trzęsiono nim dopóty, aż kiel sam z ust wypadł. Potem położywszy beana na ławie, hebłowano go, myto zabrudzoną twarz, ściągano z niego kożuch, w który go poprzednio obleczone, uszy czyszczono grubą pałą, posypywano solą i polewano winem. Obrzęd zaś sam przeplatano różnego rodzaju grubymi dowcipy, jak np. depozytor pytał beana: „Miałeś matkę?“ A skoro ten odpowiedział, że miał, dostał w gębę i wyjaśnienie: „Nie szelmo, ona miała ciebie“ itd. Wkońcu dziekan ogłaszał beanów za deponowanych. Cały obrzęd kończyła uczta, wyprawiana profesorom i depozytorom na koszt beanów. O wszystkim tem wspomina pieśń, którą śpiewano przy tej sposobności (przekład Z. Reisa):



Witajcie, goście tak wspaniali  
i coście nam tę ucztę dali,  
gospodarz kosztów miał niemało,  
spożyjcie zatem, jak przystało.

Magnatów ucztę wzdry umila  
dowcipnych błaznów krotchwila:  
gdy u nas żart się grubszy staje,  
chowamy dobre obyczaje.

My gruby klocek wyglądzamy,  
prostaka chłopã ociosamy,  
co krzywe jest, to naginamy,  
a to, co gminne, odrzucamy.

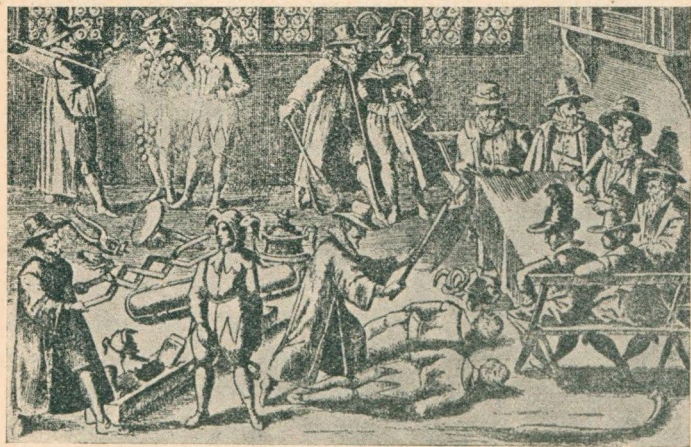
Ów brudas szczęśliw, co się zowie,  
bo wzniosłe rogi ma na głowie,  
żeby w scholarów grono wstąpić;  
wydatków nie powinien skąpić.

Niechaj z was każdy czas wyzwska  
arcyśmiesznego widowiska,  
Surowość zrzućcie z czół dokoła,  
w pogodę stróście wasze czoła.

W ten sposób odbywały się otrzęsiny w Pradze i w Niemczech. Widzimy więc, że główny zrąb tego obrzędu i tu i tam jest zupełnie taki sam, wszędzie za pomocą hebla, dłuta, piły i innych narzędzi ciosano grube obyczaje z beanów, i tu i tam myto z brudów duchowych. Były i dodatki, ale przypuszczać należy, że te zależały li tylko od indywidualności depozytorów. Im który był dowcipniejszy, im lepsze sposoby potrafił wymyślić na dokuczenie beanom, ten był lepszym depozytorem. Sądzić nawet należy, że depozytorowie, umyślnie

na ten cel wybrani, musieli się przed tak ważną uroczystością\* razem naradzić i obmyślić cały plan otrzęsin, by wypadły jak najświetniej, by wszystkich studentów i profesorów jak najlepiej ubawić, beanom jak najwięcej dokuczyć — przyczem zapewne rozchodziło się o te dodatki przy beanii, o rozmaite dowcipy, bo zrab musiał zostać niezmienny.

I u nas więc główny zrab tych obrzędów musiał się w ten sam sposób dokonywać, jak zagranicą. Władze jednak uniwersyteckie nie patrzyły na otrzęsiny tak przychylnem okiem jak w Pradze albo w Niemczech. Występowały one w obronie beanów, nie pozwalając ich tak zdzierać, jak gdzieindziej. To



Otrzęsiny. Przy stole siedzą profesorowie i przypatrują się obrzędowi otrzęsin. Na ziemi leżą dwaj nowicjusze, obciosywani toporem. Innym okazuje się narzędzie, służące przy obrzędzie (miedzioryt XVII w. w Muzeum germ. w Norymberdze).

też u nas zwyczaj ten prędej niknie, niż na innych uniwersytetach, bo już w w. XVI, podczas gdy za granicą właśnie na te czasy przypada największy jego rozwój.

Najwcześniejszą wzmiankę o beanach spotykamy u nas w roku 1489 w aktach rektorskich, w skardze, którą wytoczył bedel przed urząd rektora o przewiska i pobicie się magistra Melchiora ze studentem Marcinem. „Ty beanie“ rzucił w twarz magister studentowi, na co ten mu odpowiedział „Tyś sam bean“ i pobili się o to. W dziewięć lat później, w r. 1498, spotykamy też wzmiankę o otrzęsinach w ustawach bursy Jeruzalem. Tutaj już bierze rektor J. Wysocki w obronę beanów przed nadużyciami, jakich na karb otrzęsin w bursie tej się dopuszczano. Nie zakazuje on ich bynajmniej, widocznie zbyt dobrze były widziane tak u uczniów, jak i profesorów, ale zabrania wyłudzać od beanów z okazji otrzęsin więcej na ucztę jak po  $\frac{1}{2}$  florena, chyba, żeby który sam z własnej ochoty chciał dać więcej. Ale i tu zaleca umiarkowanie.

Jaki był zwyczaj otrzęsin u nas i gdzie się odbywały, nader skąpe mamy tylko o tem wiadomości; z ustawy dla bursy Jeruzalem możemy się tylko dorozumieć, że odprawiano je w bursie, zapewne tylko dla jej mieszkańców. Z tak skąpych wiadomości wnosićby należało, że nawet może nie zawsze do nich przychodziło. Tymczasem w r. 1511, za rektoratu Adama z Bochni, dra filozofji i medycyny i lekarza królewskiego znosi uniwersytet be-

anię, a ze zniesienia tego dowiadujemy się, że była ona u nas powszechna, że odbywała się po szynkach, bursach, co więcej nawet po domach profesorów, że inni znowu starsi studenci przebrani zabierali beanów daleko za miasto i tu ogromnemi niezwykle męczarniami ich przyjmowali, następnie zabierali ich do szynków i tutaj zmuszali do płacenia sobie śniadań, obiadów. Udręczania te miały być tak wielkie, że wielu z obawy przed temi gwałtami pomijało uniwersytet krakowski. Zakazano więc tego zwyczaju zupełnie, kasując zarazem odpowiedni paragraf w ustawach bursy, dopuszczający beanii. „Lepiej niech te koszta, jakie nowicjusze na darmo ponoszą, raczej na książki i potrzeby swoje obróć“, mówi ustawa.

To zniesienie beanii przekonywa nas, że otrzęsiny na naszym uniwersytecie nigdy nie miały tego znaczenia, co na uniwersytetach zagranicznych. Zapewne, że przeprowadzano je w ten sam mniej więcej sposób, co na obcych uniwersytetach, ale czyniono to bezładnie, bez żadnej wyższej myśli, że za ledwie się zwyczaj przyjął, a już przeszedł w zwyrodnienie. Nie był on tutaj uważany za symboliczne zrzucenie dawnych szorstkich obyczajów *depositio agrestium morum*, ale tylko zwykłym sposobem do wyłudzenia na niedoświadczonych pieniędzy, zmuszenia ich do nakarmienia swoich pustych żołądków. Nie odbywały się tu otrzęsiny uroczyście, publicznie, ale dorywczo, gdziekolwiekbądź, każda grupa na swoją stronę ciągnęła. Starsi studenci naciągali osobno, profesorowie po kolegiach osobno, seniorowie burs również na swoją rękę.

Występując przeciw otrzęsinom w tej formie, w jakiej się u nas tak wcześnie pojawiły, nie mamy bynajmniej zamiaru pochwalać tych rozmaitych nadużyć, jakie się działy na obcych uniwersytetach. Nie mamy też zamiaru pochwalać wogóle samego aktu depozycji zagranicą, aby tem samem poniżyć nasze rodzinne stosunki. Owszem krakowski uniwersytet stał wyżej pod tym względem od zagranicznych, skoro on pierwszy wystąpił z ograniczeniami, a wreszcie zniósł te zwyczaje, które aczkolwiek wpływały i były wyrazem ducha czasu, przecież swoją dzikością przynosiły ujmę najwyższym zakładom naukowym. Otóż uniwersytet Jagielloński wyróżnił się od innych, bo zapanował nad duchem czasu, zniósł zwyczaje dzikie i zwyrodniałe już w tym czasie, kiedy gdzieindziej dopiero się na dobre poczynały rozwijać.

Czy to zniesienie z urzędu odrazu wywarło wpływ stanowczy i zaraz po jego ogłoszeniu przestano uprawiać otrzęsiny? Trudno uwierzyć. Przypuszczają, że obrzęd ten został zamieniony na pewną opłatę na rzecz seniora. Opłata ta nazywała się poczesnem (*propinae*). Przypuszczenie to jednak okazało się najzupełniej mylnem, bo poczesne spotykamy jeszcze na kilkanaście lat przed zniesieniem beanii, w r. 1498. Senior mianowicie bursy Jeruzalem ma prawo rozmieszczenia bursaków po mieszkaniach, otóż ustawa zapewnia mu dochód z opłat za lepsze mieszkanie. Jeżeli student chciał otrzymać *pocześniejsze* mieszkanie, musiał seniorowi zapłacić *poczesne*. Zniknięcie zupełne beanii musiało się odbyć drogą

powolnego zanikania. Z początkiem XVI w. bowiem, już po zniesieniu beanii, w aktach rektorskich spotykamy wzmianki o beanach, odróżniano wtedy jeszcze beana od właściwego studenta. I kiedy w r. 1523 Abraham z Piotrkowa, świeżo zapisany do metryki uniwersyteckiej począł tytułować się bakałarzem, to



Otrzęsiny (miedzioryt z książki łacińskiej M. Joh. Dinkelija, Erfurt 1578) Bean leży na lawie. Jeden student zamaskowany i w stroju błazeńskim oheioywa go toporem, drugi trzyma w pogotowiu kleszcze.

wyrok rektorski wyraża się o nim, że się nawet studentem być nie okazał, lecz zwykłym beanem. Dopiero po połowie XVI w. milkną wszelkie wzmianki o beanach i beanii. Na niemieckich uniwersytetach natomiast zwyczaj otrzęsin przechował się dłużej, bo istniał jeszcze w XVII wieku. W tym czasie dopiero wskutek ogólnego protestu przeciw temu barbarzyńskiemu zwyczajowi zniesiono go w niektórych uniwersytetach, zaprowadzając pewną taksę, którą każdy nowicjusz w miejsce beanii miał złożyć.

Znaczenie otrzęsin było bardzo wielkie. Bez nich żaden student, chociaż był wpisanym do metryki uniwersyteckiej, nie był uważany ani przez studentów, ani przez profesorów za studenta, musiał być jeszcze wciągniętym u dziekana w listę deponowanych. Musiał przejść przez ten obrzęd, który był wkupieniem się do stanu studenckiego, był symbolem zrzucenia dawnych grubych obyczajów, a przyjęcia nowych. Jakie znaczenie miała beania u nas, widzieliśmy to na Abrahamie z Piotrkowa, który choć wpisany do metryki uniwersyteckiej, nie był uważany za studenta, lecz za zwykłego beana.

A na obcych uniwersytetach? Tutaj beania zatrzymuje swe znaczenie bardzo długo, bo była nawet przez reformację poparta.

W Niemczech mianowicie tak Luter, jak i Melancton, który z taką surowością występował później przeciw rozpuście i swawoli młodzieży, popierali otrzęsiny, „by się młodzież ćwiczyła w cierpliwości, bo w życiu czeka ją daleko więcej i daleko gorszych otrzęsin. Skoro się już ożeni, małżonka

mu nieraz sprawi otrzęsiny, wstąpi do urzędu, to tam wiele się znajdzie ludzi, którzyby mu chętnie przyprawili rogi lub otłukli. Dzięki poparciu takich powag przetrwała depozycja w Niemczech gdzieś w głąb XVII wieku, przemieniając się w inne, mniej okrutne, ale również dzikie zwyczaje.

W Czechach, a zapewne i gdzieindziej, bez odbycia otrzęsin nie można było osiągnąć stopnia uniwersyteckiego. Dlatego też, chociaż czasem zdarzało się, że ten lub ów nie poddawał się otrzęsinom, szczególnie ci, którzy nie mieszkali w bursach, przeciw w późniejszych latach, kiedy chcieli się ubiegać o stopień akademicki, musieli się poddać temu obrzędowi. W r. 1606 nawet poważny proboszcz z Bystrzyicy Wielkiej, ks. Wacław Seidelius z Milutina prosił o wsadzenie go na kozła, czego dawniej zaniedbał. Dla powagi stanu nie pozwolono na to i wydano mu bez odbycia obrzędu poświadczenie, że „złożył grube obyczaje“, ale w każdym razie jest to ilustrującym przykładem, jak wielkie znaczenie miała beania.

Otrzęsiny, aczkolwiek zgodne z duchem czasu, były barbarzyńskim błazeństwem, nie licującym z powagą najwyższych instytucyj naukowych — chlubić się też możemy, że nasz uniwersytet pierwszy je uznał za takie i zniósł oficjalnie.





## V. ZWADY NARODOWOŚCIOWE

Uniwersytet krakowski w w. XV i XVI jest w całym tego słowa znaczeniu uniwersytetem europejskim. Zewsząd ciągną doń ludzie chciwi nauki, przede wszystkim zaś z krajów sąsiednich, jak Węgier, Czech, Śląska, Saksonji, Prus itd. Dziwne też uczucie budzi się w nas, kiedy rozglądamy się w składzie uczniów uniwersytetu naszego w tych czasach; jakieś uczucie obcości. Nie czujemy się między swoimi, ale zupełnie w świecie innym, obcym. Językiem międzynarodowym jest język łaciński. Nim się porozumiewają reprezentanci różnych narodowości, mieszkający obok siebie w bursach ubogich, Jerozolimskiej, czy jakiegokolwiek innej. Podziału bowiem na nacje nie było i tylko niektóre bursy narodowościowe, skupiały w swych murach uczniów swej narodowości. Ale one mogły skupić tylko garść niewielką, tylko zamożniejszych, biedniejsi bowiem mieszkali w bursach wspólnych przeznaczonych dla wszystkich narodowości, dla wszystkich stanów i wszystkich wydziałów.

Językiem panującym, jak się powiedziało, był język łaciński. Uniwersytet zaś dbał o to, żeby uczniowie mogli go sobie jak najlepiej przyswoić, zakazując surowo używania języka rodzinnego. Przez dwanaście godzin, tak w lecie jak i w zimie (w lecie od 10—22, w zimie od 12—24) obowiązani byli uczniowie mówić tylko po łacinie i to tak w szkole jak i w domu, we wspólnej sali, czy mieszkaniu własnym. Nad przestrzeganiem tego czuwał po bursach senior, przez tajnych swych agentów, wybieranych z pośród

studentów, którzy każdego przekraczającego zakaz mieli zapisywać i później przedstawiać seniorowi. Kto został zapisany trzy razy, płacił denara. Karę ścigał senior w każdą sobotę i obracał na wspólne potrzeby. Pieniężnej kary zresztą używano tylko względem młodzieńców dojrzałych, dla młodszych bowiem uczniów przeznaczone były... różgi.

Różnice więc narodowościowe, nie mając formy, w którejby się objawiały — języka rodzinnego, były wielce zatarte. To też żyją obok siebie Niemcy, Węgrzy, Czesi, Polacy i Litwini.

I nietylko nasz krakowski, ale wszystkie uniwersytety ówczesne były mozaiką narodów. Jedne tylko hiszpańskie i angielskie, były więcej jednolite, miały charakter więcej narodowy.

Pomimo tej różnobarwności narodowej, panowała zupełna zgoda i harmonja. Spotykamy się wprawdzie czasem i z dyssonansem pod tym względem, ale tak rzadko, że trzeba go uważać za coś nienaturalnego, za fałszywy ton wśród ogólnej harmonji.

Najwięcej jeszcze znieawidzonymi byli Niemcy. Potrącenie przez Niemca mszczono też surowo.

Pewien Niemiec czeski potrącił studenta Stanisława Lisa z Jarosławia, przy wyjściu z wykładów. Polak rzucił książki na ziemię, Niemca schwytał za łeb i mocno poturbował. Spozstrzegł to mistrz Marcin z Garbarów, zwany z tego powodu Garbarzem, przyskoczył do bojowników i rozdzielił ich. Nie zaniechał jednak Stanisław Niemca, ale czatował nań przy kolegum większem, aż wyjdzie. A miał

miecz przy sobie. Wyszedł wreszcie Niemiec, ale nie sam, lecz z innym jakimś studentem. Skoro ujrzał Lisa, rzekł do swego towarzysza: „Ten ci jest z włosami przepasany mieczem, co się zasadza na mnie“. Lis postępował nieco zdala za nimi, chcąc wyśledzić, gdzie Niemiec mieszka. Mieszkał przy ulicy Szczepańskiej. Tutaj więc zasadził się na niego, czekając długo w nocy, póki nie wyjdzie. Wyszedł nareszcie. Ale zaledwie się oddalił parę kroków od swego mieszkania, rzucił się Lis za nim, tłukąc szablą o bruk, że aż skry sypały. Przerażony Niemiec z krzykiem „Ave, ve“ począł uciekać, aż wpadł do domu Stańczyka Morsztyna. Tutaj jednak w sieni dopadł go Lis, i nie używając miecza, kulą ołowianą aż do krwi obił. Wnet przecież po dokonaniu tego czynu chwyciła żałość Lisa i kiedy się dowiedział, że Niemiec z tego powodu choruje, przyszedł do prasoła Andrzeja, u którego mieszkał ów Niemiec, prosząc go, by łożył na leki i doktora, i na wszystko, cokolwiek będzie potrzeba, on to wszystko zapłaci. Udał się też do chorego i prosił na miły Bóg o zgodę, przepraszając za wszystko. Ale Niemiec nie dał się uprosić. Zaskarżył Lisa przed rektorem, spodziewając się zapewne wiele od sądu rektorskiego. Tymczasem rektor skazał Lisa tylko na to, co sam ofiarował był przedtem — na zapłacenie kosztów leczenia i kopy groszy uniwersytetowi; nakazał też obydwom zawrzeć zgodę między sobą, przeprosić się nawzajem. Tak więc Niemiec przez skargę nic więcej nie zyskał, jakaby zaś zgoda była szersza i silniejsza, czy nakazana z góry, czy

też, jak chciał Lis, dobrowolna? Zbyteczne mówić. Przezywają też Polacy Niemców żydami, zrodzonymi *de culo Pilati* (z pośladka Pilatowego). Były to jednak tylko poszczególne wypadki, zresztą między Polakami a Niemcami panowała najzupełniejsza zgoda.

Inaczej miała się rzecz z innym narodem, więcej namiętnym, więcej skłonny do bójek, z Węgrami. Nienawidzą oni Niemców tak, że nie chcą mieszkać z nimi pod jednym dachem. Jestto żywioł ogromnie burzliwy i niespokojny. Ustawicznie wzniecają niepokoje, to występując łącznie przeciw Niemcom, lub też poszczególni członkowie fermentują, wyprawiają rozmaite burdy. Ten żywy temperament węgierski odbijał się nawet na samem mieszkaniu, na bursie. Niszczą oni i rujnują budynek tak dalece, że uniwersytet tylko z wielką niechęcią wynajmuje im go pod bursę, nieraz grozi, że ich wygoni, jeżeli tak nadal będą sobie postępowali.

Przy tak burzliwym charakterze Węgrów musiało nieraz przychodzić do większych nieporozumień i z innymi narodowościami.

Mieszkali oni w swej bursie, przy ulicy Brackiej. Był to raczej pensjonat, przedsiębiorstwo, które się rzadko udawało. Istnienie bowiem takiej bursy zależało od ilości członków, a ubodzy woleli się udać do burs innych, Ubogich czy Jerozolimskiej, tu bowiem mniej ich kosztowało utrzymanie. Seniosem bursy węgierskiej w r. 1491 był Michał z Waraždynu, z początku ogromnie biedny, tak, że nawet nazywany był 'odardus' tj. golec i mieszkał w bursie

bez płacenia wkładek jeszcze w r. 1494. W dwa lata później zamienił się już na wielkiego pana, bo utrzymywał konie i woźnicę własnego. Otóż ten Michał, więcej burzliwego temperamentu aniżeli nawet inni Węgrzy, nie mógł wyjść na seniorstwie i zrzekł się go. Uniwersytet nie mógł jednak bursy zostawić bez przewodnika, wynajął ją więc Janowi Sommerfeltowi, zwanemu z łacińska Aestikampianem. Aestikampian wynajął bursę węgierską na trzy lata, pod tym warunkiem jednak, że będzie mógł do niej przyjmować nie tylko Węgrów, lecz także studentów innych narodowości. Ale pomimo, że Uniwersytet zgodził się na ten warunek, Sommerfelt nie długo był seniorem bursy węgierskiej. Postarał się o to Michał z Waraždynu. Dość było obrazy, że seniorem bursy węgierskiej został Niemiec, a cóż dopiero, jeżeli będzie zamieszкана przez Nie-Węgrów. Podburzał więc swych rodaków i ci nietylko wynieśli się z bursy Aestikampiana, ale nawet pod wodzą Michała rozpaleni nienawiścią narodową wtargnęli do bursy niemieckiej, której seniorem był Wit z Berna i tutaj jakieś gwałty poczynili. Sprawa to była głośna, przyszło też do sporu sądowego. Dwaj przedstawiciele bursy niemieckiej a mianowicie senior Wit i mistrz Wawrzyniec z Oleśnicy zaskarżyli nację węgierską przed rektorem. W imieniu narodowości węgierskiej stanęli dwaj główni sprawcy rozruchów, ów Michał z Waraždynu i bakałarz Krzysztof. Sprawa była aż nadto jasna. Nie długo też trwało jej rozpatrywanie i rektor „wezwawszy imienia Chrystusa“ wydał wyrok, skazu-

jący Michała na karę 20 flor., Krzysztofa flor. 12. „Aby zaś złościwości zamknąć drogę, ma się zobowiązać własnoręcznie przed naszymi aktami, że będzie żył spokojnie i przyzwoicie i innych do tego nakłaniał“, mówi dalej ów wyrok do Michała z Waraždynu. Stało się to 8 czerwca 1493 r. Trudno było Michałowi, znanemu jako *odardus* zapłacić naraz tak wielką sumę. Jeszcze przy końcu tego miesiąca jej nie uścił, a uniwersytet przedłużył mu termin do 8 dni. Natomiast owo przyrzeczenie złożył w ręce rektora 27 czerwca: „Ja mistrz Michał z Waraždyna z dobrą wiarą przyrzekam żyć cicho i spokojnie i nie dawać okazji do żadnych rozruchów i innych do tego nie namawiać pod karą wywołania, a to według możliwości mojej“. Taką formułkę dał mu rektor do podpisania i Michał podpisał.

Ale niesnaski narodowe Niemców z Węgrami owoc swój już wydały. Sommerfelt bowiem nie może utrzymać bursy węgierskiej i jest pociągany do zapłacenia czynszu uniwersytetowi. Przez parę tygodni jeszcze wlece bursa pod Sommerfeltem swój suchotniczy żywot, aż wreszcie od września tegoż roku wraca napowrót w ręce węgierskie. Trzej bakałarze Węgrzy, a mianowicie: Bartłomiej z Meysy, Tomasz z Apatu i Wincenty z Isepu zjawiają się dnia 1 września przed rektorem i wynajmują ją na rok następny. Od 29 września, tj. od św. Michała ma wejść w ich posiadanie.

Mieli też Węgrzy zatargi z Polakami, choć nie tyle o charakterze narodowym. W r. 1494 Jan

ze Starego Sącza napisał jakąś obelgę na karcie i przybił ją na drzwiach bursy węgierskiej. Była ona obelżywa dla całej narodowości węgierskiej. Uczuli się też mocno tem Węgrzy dotknięci i zaskarżyli Jana przed rektorem. Senior bursy węgierskiej, gdyż on sam całą tą sprawą się zajmował, zdołał udowodnić Janowi, że nietylko tym razem to uczynił, ale już i dawniej pisał podobne obelgi na Węgrów. Pomimo tego rektor nie może ukarać Jana tak, jak na to zasługuje, bo wyrok stałby się głośnym, wywołałby ogólne rozdrażnienie i pobudził do pomszczenia wyroku na samych Węgrach. Wolał raczej polubownie tę sprawę załatwić i nakłonił Jana do przeproszenia całej bursy węgierskiej w osobie seniora, bakałarza i kilku studentów.

Węgierscy studenci, przybываяc ze swej ojczyzny do Krakowa, przynosili ze sobą zwyczaje, które na Węgrzech wprawdzie jeszcze istniały, w Polsce jednak już dawno zanikły. Takim zwyczajem, niepraktykowanym już w Polsce było bicie studentów młodszych w dzień młodzianków (28 grudnia). Gdyby się jeszcze ograniczali do młodzieńców swojej narodowości, byłoby to zrozumiałe i do wybaczenia. Ale oni bili i studentów polskich. W r. 1507 pobili okrutnie Wojciecha z Piczkowic, który oburzony zaskarżył Węgrów przed rektorem. Węgrzy wysunęli na czoło jako generalnego swego mowcę, Michała z Kiszwardu. Ten zamiast udać się w pokorę i prosić o przebaczenie dla wszystkich, począł dumnie przedstawiać rektorowi, że co się stało, stało się stosownie do zwyczaju, jaki jest u nich w ojczy-

źnie. Bo tam na Węgrach jest zwyczaj, że w dzień Młodzianków bije się młodzieńców. Tak samo zrobili i oni. Obili Wojciecha, by pamiętał Młodzianków. Nie pomogło takie tłumaczenie się, rektor podobny zwyczaj uznał za barbarzyński. Powinni się byli zastosować do ustaw uniwersyteckich — a te na coś podobnego bynajmniej nie pozwalają. Zresztą cóż z tego, że zwyczaj taki istnieje na Węgrzech, kiedy go niema w Polsce? A przecież winni się zastosować również do miejsca, w którym przebywają, bo

*cum fueris Romae, Romano vivito more  
cum fueris alibi, vivito ut ibi.*

Skazał ich też na zapłacenie kary po 2 dukaty. Było zaś trzech głównych sprawców, a zarazem reprezentantów całej bursy węgierskiej, Damian z Siedmiogrodu, Maciej z Terebes i ów Michał, niefortunny mowca generalny. Wyrokiem tym uczuli się Węgrzy mocno pokrzywdzeni, nie myśleli też bynajmniej płacić kary. Ale i rektor nie myślał żartować. I kiedy wyznaczony termin dwu tygodni minął, a Węgrzy kary jeszcze nie zapłacili, kazał Michała jako buntownika zamknąć do więzienia, a obydwu jego towarzyszków skazał na dodatkowe zapłacenie po złotym. Ażeby zaś podobny zwyczaj na zawsze wykorzeńić, otrzymał senior bursy węgierskiej nakaz, by co roku w dzień Młodzianków zamykał bramę od bursy, i by piśmiennie ogłosił, że w ten dzień nie wolno nikomu do bursy wchodzić i że nie odbywa się żadna nauka. Uchwała ta miała być zawsze na kilka dni przed dniem Młodzianków czy-



taną mieszkańcom bursy węgierskiej przy stole, by się potem nie wymawiał ktoś nieświadomością. Przekraczający ustawę miał płacić 20 złotych kary.

Dobrymi dłużnikami nie byli Węgrzy wcale. Zjeść, napić się, kazać sobie coś zrobić, a potem nie zapłacić, to było u nich czemś zwyczajnem. Szczególniej zaś jako dobrzy patrjoci węgierscy lubili popijać wino węgierskie. A mieli je niedaleko swej bursy, bo na ulicy Wiślniej u winiarza Jana Medyka, któremu uważali za święty obowiązek wypić jak najwięcej, a gdy się upominał o zapłatę, obić go za to.

Wyróżniali się zresztą od innych studentów większą stałością charakteru i energją. Nie skarżą oni nigdy o ladabądź sprawę, a jeżeli pociągani są za świadków, nie zdradzają nigdy swoich kolegów, owszem, nie wahają się wprost rektorowi powiedzieć w oczy, że „nie godzi się kogokolwiek zdradzać“.

Wśród Polaków, przedmiotem rozmaitych złośliwych uwag i pośmiewiska byli Mazurzy. Nazywano ich mazurskimi świniami, bo dają się bić jak świnie. Raz oskarżono Mazura o kradzież. Ale ten się wykazał świadkiem, również Mazurem, że bynajmniej tego nie zrobił, ponieważ zaś nie było wyraźnego dowodu na winę, przeto puszczone go na wolność, uwolniono od zarzutu. Ale pisarz aktów rektorskich, zawzięty widocznie przeciwnik Mazurów bynajmniej nie był przekonany o jego niewinności, zgołą nie wierzył on świadkowi Mazurowi i na marginesie procesowego aktu dopisał złośliwą uwagę: *Czort za Iwanem, Mazur za Mazurem*. Podchwy-

tywano także rozmaite dźwięki, jakie Mazurom są właściwe i powtarzając je, przedrzeźniano ich mowę. Pytano się też ich z przekazem: „Czy to Judasz, czy inny z Apostołów był posłany do nawracania Mazurów?” Szczególniej zaś zawzięci na nich byli Litwini. Chodzili oni nawet w bursach po komorach zamieszkałych przez Mazurów i ustawicznie im powtarzali dźwięki przez nich wymawiane, jak: *Stank, penk, mienk, pock, tutka, sienio, topka*. Za takie drwiny gniewali się Mazurzy okrutnie i zaraz dążyli do rektora ze skargą. W r. 1513 zaskarżyli oni trzech Litwinów o tego rodzaju przezwiska. Rektor skazał ich na zapłacenie po kopie groszy. Byli to jednak biedacy, mieszkali nawet w bursie ubogich, trudno im było o taką sumę się postarać. Jakieś osobistości wstawiły się więc za nimi i darowano im karę.

Niewiele to jednak pomogło Litwinom. Burzliwi i niespokojni to byli widocznie młodzieńcy, bo już trzy dni po tej sprawie, 14 lutego, znowu widzimy ich przed sądem rektorskim o jakąś burdę i gwałty, jakich się dopuścili w bursie ubogich wraz z kilkoma Polakami. Teraz już im przestępstwa nie puszczono płazem, ale zostali skazani na trzy razy wyższą karę, aniżeli poprzednio, bo na 6 flor. Polacy za te same awantury mieli płacić tylko po 3 flor. Widocznie niemałe znaczenie dla Litwinów miała owa poprzednia sprawa z Mazurami.

Kogo zadziwiająco mało na naszym uniwersytecie, to pobratymczych Czechów. Od r. 1466 do 1537 zaledwie kilka razy spotykamy się w Aktach

rektorskich z Czechami, podczas gdy nazwisk niemieckich spotykamy kilka razy więcej. Najliczniej jeszcze są reprezentowani Węgrzy, przy 51 bowiem nazwiskach jest dodana wzmianka, że ten lub ów jest Węgrem. Niemało się zapewne przyczyniał do tego, że Węgrzy tak licznie w aktach rektorskich są reprezentowani, i ów burzliwy a niespokojny ich charakter, ale pomimo tego nacja węgierska z pośród wszystkich obcych na naszym uniwersytecie prym dzierżyła, jak się zresztą o tem można przekonać z księgi zapisu uczniów.

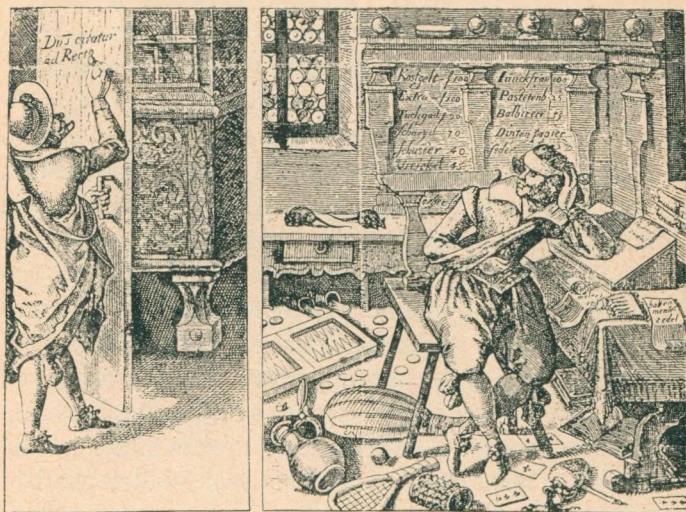
Dlaczego tak słabo są reprezentowani Czesi? Może niemałe znaczenie miało i to, że przejęci husytyzmem studenci czescy nie mieli ochoty udawać się na uniwersytet katolicki, chociażby nawet pobratymczego narodu, a i sam uniwersytet możeby heretyka do swego grona nie przyjął. To też ci, którzy przybywają do Krakowa, z pewnością byli katolikami. Skoro zaś tak niewielu tylko było Czechów na naszym uniwersytecie, nie było więc potrzeby zakładać bursy czeskiej. Pomimo też wszystkiego, co dotąd w tej kwestji napisano, trzeba stanowczo zaprzeczyć, żeby w Krakowie w wiekach XV i XVI była jakakolwiek bursa czeska. Z taką bursą bowiem w aktach rektorskich zupełnie się nie spotykamy, a przecież, jeżeli znajdujemy w nich nader liczne wzmianki o wszystkich innych bursach, nawet o nieznanej do niedawna bursie medyków, to musieliśmy i o tej bursie znaleźć jakąś drobną choćby wzmiankę. Wzmianki podobnej nie znajdujemy, ale

owszem spotykamy Czechów w bursie niemieckiej. Pocóżby się tutaj chronili, gdyby mieli bursę własną?

Niemal tyle co Węgrów spotykamy w aktach rektorskich Litwinów, bo 46 nazwisk opatrzonych jest dopowiedzeniem 'Lithuanus'. Natomiast Rusinów spotykamy znowu bardzo niewiele, bo tylko ośmiu, a między nimi i słynnego poetę z początku XVI wieku, Pawła z Krosna, który jako kolega mniejszy znajdował się w takiej potrzebie, że zamiast pieniędzy, Annie Brunowskiej obywatelce, u której mieszkał, zanim został kolegą, zastawił 43 ksiąg, a mianowicie 19 dzieł Plauta i 24 Seneki. Było to w r. 1508. W sześć lat potem udaje się na Węgry.

Cyfry odnoszące się do wymienionych narodowości nie znaczą bynajmniej, żeby tylko tyle jednych lub drugich miało sprawy przed sądem rektorskim. Odnoszą się one tylko do tych nazwisk, przy których dodano owo dopowiedzenie, objaśniające, że to Litwin, Niemiec czy Węgier. Oprócz bowiem tych, zaznaczonych jako członków pewnej narodowości znajdujemy bardzo wiele nazwisk, o których jesteśmy pewni, że należą do pewnej grupy narodowościowej, a przecież nie są tu zaliczeni, bo nie mają przy nazwisku wzmianki o swoim narodowym pochodzeniu. Jest tylko wymienione imię i miejsce, skąd pochodzą. Otóż jeżeli według nazw miejscowości, z których pochodzą studenci, zechcemy wnioskować o ich narodowości, to spotkamy się obok Polaków, Litwinów, Niemców, Czechów i Węgrów, także z Pomorzaniemi, Prusakami, Miśniejczykami, Brandenburczykami, a nawet ze studentami z Szwajcarji.

Wogóle uniwersytet krakowski był w tych czasach naukowym środowiskiem całej niemal Europy. Obok Polaków, Litwinów, Rusinów, Niemców, Czechów i Węgrów spotykamy na nim także przybyszów z południowego zachodu, z odległych Włoch, Szwajcarii i Alzacji. Nie dziwić się nam też, że złożony z tylu narodowości nakazywał surowo używać tylko języka łacińskiego, bo ten język łączył je w jedno ciało uniwersyteckie.



Wezwanie przed sąd rektorski. Po stronie prawej widzimy studenta, który prowadzi życie swobodne i głośne: głowę ma przewiazaną, rękę na temblaku — ślady bójki. Na ścianie przybite rachunki niezapłacone, w pokoju nieład, po komodzie spacerują myszy. Po lewej stronie sługa uniwersytecki pisze kredą na zamkniętych drzwiach: *Dominus citatur ad Rectorem*, tj. wzywa się pana do stawienia się przed rektorem. Rektor sprawował sądy.

## VI. BURDY ULICZNE

Bursy i szkoły gromadząc w sobie wielką ilość niespokojnego młodego żywiołu, były zawsze źródłem i wyjściem dla wszelkich burd. Tutaj zawsze obmyślano zapewne wszystkie walne batalje, czy to przeciw sobie nawzajem, czy też przeciw mieszkańcom miasta. Same bursy i szkoły ze sobą niewiele miały zajść i przepraw. Raz tylko przyszło do większego zajścia, kiedy mianowicie dwie szkoły parafjalne zeszły się na jednym terytorjum, żebrząc dla siebie o jałmużnę i pożywienie. W aktach rektorskich, oprócz tych zwykłych, więcej narodowy charakter mających zajść między bursami węgierskiemi a niemieckimi, były jeszcze zajścia między bursami bogatych i biedniejszych, jak np. filozofów.

W r. 1474, 19 kwietnia, mistrz Marcin z Krakowa, senior i prowizor bursy bogatych, oskarża całą bursę filozofów wraz z jej seniorem Erazmem, że mieszkańcy tej bursy czynili rozmaite przykrości bursie bogatych, gwałtownie na nią napadali. Raz w nocy, o 3 godzinie wpadli od tyłu i poczeli szturmować do drzwi zamkniętych wrzeciądzami, a następnie w niedzielę kamieniami rzucali w okna i wiele rzeczy wewnątrz bursy się znajdujących potłukli. Równocześnie z bursą bogatych wniósł skargę na bursę filozofów bakałarz Marcin, lektor ze szkoły św. Anny, również o rozmaite gwałty, mianowicie, że na jego szkołę rzucali kamieniami i jednego z jego uczniów do krwi zranili, kantora zaś przy bramie dopadli i mocno poturbowali.

Co było powodem tego wojowniczego usposobienia filozofów? Tłumaczy nam to ich senior Erazm. Wnosi on także skargę przeciw bursie bogatych. Oto jeszcze przed owymi zajściami, jeden z członków tej bursy, niejaki szlachcic Bernard z Luboszowa, przyszedłszy pod bursę filozofów, począł im urągać, przezywać żydami, mówiąc, że wszyscy są zrodzeni *de culo Pilati*. Rzucił również kamieniami do okien, a nawet niedawno zbrojny mieczem, wbrew ustawom stanął przed bursą filozofów i naigrawając się, wyzywał ich do bójki. Z całej tej sprawy to tylko widoczne, że rzeczywiście istniały klótnie i zwady między obydwoma bursami już od dłuższego czasu. Jednakowoż więcej tu winni filozofowie, skoro nie przytaczają więcej wypadków, jak tylko ten jeden *gravamen* (zażalenie) przeciw jednemu z członków bursy bogatych wymierzony, podczas gdy przeciwnicy oskarżają całą bursę. Przeciw szkole np. św. Anny, już żadnej skargi nie wnosi Erazm, widocznie nic nie może znaleźć na usprawiedliwienie swych podwładnych. Cała ta kontr-skarga Erazma, seniora filozofów wskazuje tylko na to, że Erazm chce przynajmniej zmniejszyć ich winę, usprawiedliwiając ją prowokacją jednego z 'bogatych'.

Burdy studenckie musiały być częstsze, aniżeli nam to podają akta rektorskie, które tylko króciutko o jakimś zajściu wzmiankują. Oto w r. 1533 rektor rozsądza sprawę o miecz, który student pewien miał znaleźć w jakiejś walce domowej, powstałej między studentami. Gdzieindziej znowu dowiadujemy się, że studenci zostali poturbowani i poranieni

przez żołnierzy z okazji zwad, jakie z nimi wszczynali. Innym razem jeszcze spotykamy się ze skargą studentów na cały urząd miasta Kazimierza, o uwięzienie ich i odesłanie do podstarościęgo krakowskiego. Wszystko to świadczy, że studenci ustawicznie jakieś burdy wszczynali, nawet na Kazimierzu. Nic to nie znaczy, że burd nie zapisano w Aktach rektorskich, bo wszakżeż nawet owa słynna burda z r. 1549 prawie zupełnie jest w aktach pominięta. Jeżeli coś o niej wiemy, to tylko tyle, co nam podaje Orzechowski. W Aktach rektorskich są tylko późniejsze dopiski.



Wędrowni klerycy śpiewają pochwałę pijaństwa (drzeworyt anonimowy z r. ok. 1500 w gab. miedziar. w Berlinie).



Poszło o kobietę lekkich obyczajów, która w maju przechodziła przypadkowo koło szkoły WW. ŚŚ. Nazywała się Juljanna. Zebrzący żacy poczęli się z niej naigrawać — w obronie jej stanęli słudzy kanonika Andrzeja Czarnkowskiego, człowieka wielce zamożnego i przyjaciela biskupa Maciejowskiego. Mieli to uczynić na rozkaz kanonika. Uzbrojeni słudzy uderzyli na bezbronnych biednych malców, żaków, utrzymujących się tylko z żebrania i usługi kościelnej, jednego zabili, wielu poranili. Mordowanie małych nędzarzy było rzeczą straszną, wzburzyło też serca nie tylko wszystkich studentów, ale i mieszczan.

Za żakami ze szkoły Wszystkich Świętych ujęli się studenci ze wszystkich szkół, a kierownictwo wzięli w swe ręce studenci uniwersyteccy. Z trupami pomordowanych udali się tłumnie do króla po sprawiedliwość, a jako sprawcę mordu wskazywali ks. Czarnkowskiego. Ten jednak wykazał swoje alibi. Uwolniono go więc z zarzutu i tylko jego sługi uwięziono. Trudno to jednak było wmówić w młode, rozżalone umysły. Wyrok uważali za niesprawiedliwy. Już przedtem 4 czerwca, na zgromadzeniu wszystkich studentów, zwołanem przez uczniów uniwersytetu postanowiono nie pełnić żadnych posług kościelnych, dopóki sprawiedliwość nie zostanie im wymierzona. Jeżeli zaś sprawiedliwości nie otrzymają, w takim razie wszyscy opuszczą Kraków. Tak się też i stało. Kiedy bowiem Czarnkowskiego uwolniono od zarzutu, studenci, pomimo odradzań biskupa Maciejowskiego i Tarnowskiego



Bunt żaków w w. XVI. Tłumy studentów, na wozech i pieszo, opuszczają mury Krakowa (obraz Jana Matejki).

hetmana i wielu innych dygnitarzy, uważając, że „zbrodniami złych uciśniona jest wolność dobrych“, cały ten liczny orszak studentów, ze wszystkich burs i szkół parafjalnych, nawet owi biedni żacy żebrzący, tłumnie bramą Florjańską opuścili Kraków. Działo się to koło Bożego Ciała, wielka też bieda przycisnęła księży, bo sami musieli sobie usługiwać, wszystko sami załatwiać, jak mówi nieco późniejsza zapiska, *junesti ac deplorati* (zasepieni i zapłakani). Opłakiwali oni odejście młodzieży, nie tylko żałując jej, że nie kończy studjów rozpoczętych, ale i z powodu obelgi, jaka ich spotkała. Studenci tymczasem wśród płaczu wszystkich mieszkańców i sami zalewając się łzami, po wysłuchaniu Mszy św. u św. Florjana, z pieśnią na ustach: *Ite in orbem univrsam* opuścili przedmieścia krakowskie, aby się rozprószyć po szerokim świecie. Wodzem zaś wszystkich był mistrz Marcin Glosa, rodem z Wąchocka. Pod jego przewodem udali się studenci za granicę. Stało się to za rektoratu Mikołaja Szadka.

Tak się przedstawia ta sprawa według najbliższego tym czasom Orzechowskiego i zapisek późniejszych w *Liber diligentiarum*. Jak się ona miała w rzeczywistości? Czy ks. Czarnkowski rzeczywiście był czystym w tej sprawie? Trudno rozstrzygnąć na podstawie tych danych, jakie posiadamy. Orzechowski całą winę zwała na ową Juljanę, która też ponosi zasłużoną karę. Bo oto namawia ona jakąś Reginę, córkę Strzelimuchy do zamordowania rodzonej matki, która jej broniła nierzędu. Regina za karę zaszyta zostaje w skórzany worek i wrzucona



Scholarzy przy winie i śpiewie; na środku stołu roztruchan, na ziemi  
drzban (drzeworyt z *De generibus ebriosorum*, Norymberga 1516).

w nurty Wisły, zaś Juljanna rozpalonemi obcęgami podarta na kawałki, które następnie również rzucono w Wisłę.

Jakkolwiek się stało, stało się źle i od tego czasu datuje się upadek uniwersytetu. Jeżeli bowiem i przedtem już trzeba było wydawać zakazy wyjazdu na naukę zagranicę, to teraz z zagranicy do Krakowa, skąd właśnie studenci zmuszeni byli wywędrować, niewielu chyba z obcych przybywało. Ruch ten studencki odbił się też zaraz na wykładach. Profesorzy bowiem, jeden po drugim zawieszają wykłady z powodu braku słuchaczy.

Prowadzili również studenci pomiędzy sobą walki. Biedni studenci, mieszkańcy po szkołach parafjalnych, utrzymywali się z żebrania. Chodząc od domu do domu otrzymywali śniadania czy też wieczery w klasztorach i domach prywatnych. Każda szkoła parafjalna mogła to robić tylko wśród swoich parafjan; przekroczenie granicy innej parafji spowodowało nieporozumienia, czasem nawet zacięte walki pomiędzy scholarami. W rok po wyjściu studentów z Krakowa właśnie przyszło do takiego przypadku. Któraś ze szkół parafjalnych, św. Anny czy też WW. Świętych, weszła na terytorjum drugiej. Od słów i wyzwisk przyszło do krwawej walki. Przez dwie godziny trwały zapasy na Rynku — do walki przyłączyły się później jeszcze dwie inne szkoły, Panny Marji i św. Szczepana.

Oburzyło to króla i wszystkich mieszczan, wydał też król polecenie do sufragana Myszkowskiego, by powściągnął wraz z rektorem takie nadużycia.

zażądał, by sprawców rozruchu w obecności bedeli ukarano.

Postanowiono odtąd, że żadna szkoła nie powinna w celu zebrania wkraczać na terytorjum drugiej. Pilnować tego mieli nauczyciele, przewodniczący zebraczej młodzieży (*pater mendicantium*), karać zaś winnych mieli kierownicy szkół lub seniorowie burs. Za wkroczenie jednej szkoły na terytorjum drugiej odpowiedzialni byli ich przewodnicy. Uboga bowiem młodzież po szkołach podzieloną była na



Po stronie prawej młodzieniec prowadzi pod ramię dwie panny. Po lewej widzimy dwu uczonych, zajętych rozmową (drzeworyt anonimowy z ok. 1560 w gab. miedzior. w Gotha).

oddziały, na czele każdego stał praeceptor, zwany także ojcem żebraczej młodzieży. Nie powinni oni osłaniać swoich żebraków. Gdyby który z takich praeceptorów nie pozwolił seniorowi ukarać winnego, w takim razie wraz z całą bandą żebraczej młodzieży miał zostać wypędzonym ze szkoły, a kierownicy innych szkół mieli wzbronione przyjmować ich do siebie. Polecono również seniorom sporządzić dokładny spis wszystkich żebraczych żaków i oddać go rektorowi uniwersytetu, by wiedziano, komu dawać jałmużnę. Zdarzało się bowiem, że się i wagusy, zwani 'wałkoniami', którzy wcale nie byli studentami, często zgłaszali o jałmużnę i otrzymywali. Spis studentów-żebraków miał zapobiec takim nadużyciom.

Szczególniej do takich zwad łatwo przychodziło w czasie procesji, w dni krzyżowe. Wtedy też mieli kierownicy szkół polecenie, jak najściślej przestrzegać, by nie przyszło do jakiej walki. Pomagać zaś w tem mieli im ich pomocnicy jak kantorowie i inni. Gdyby się zaś zdarzyło, że żak przekroczył granicę swej parafji i żebrał w drugiej, otrzymywał karę od swego seniora. Żacy nie mogli go ukarać sami, ale tylko oskarżyć przed jego seniorem. Nie zechce senior wymierzyć im sprawiedliwości, mają się udać ze skargą do rektora uniwersytetu, jako zwierzchnika wszystkich szkół. Takie przepisy dla żebraczej młodzieży wydano z powodu owej burdy z r. 1550.

Walki podobne i burdy nie były zresztą właściwością tylko szkół krakowskich. Istniały one wszędzie zagranicą, nawet jeszcze w większej mierze. Walki narodowościowe w Czechach sprowadziły w r. 1409 rozdwojenie się uniwersytetu w Pradze i wyjście wszystkich Nie-Czechów z Pragi po największej części do Lipska, czemu Lipsk zawdzięcza powstanie uniwersytetu u siebie.

Niemniej takie warunki panowały i w Niemczech. W Wittenberdzie, gdzie wielką powagę miał słynny teolog protestancki, Melanchthon, również przychodziło do zaburzeń. Melanchthon, aczkolwiek pochwałał zwyczaj otrzęsin, przecież nie pozwalał na żadne wybryki, zakazywał surowo nocnych krzyków, wyprawiania maskarad i rozpusty. Nic to jednak nie pomagało. Wielkiego reformatora młodzież znienawidziła z tego powodu, i kiedy umarł w r. 1560, to studenci właśnie na jego dom napadli, drzwi i okna wyłamali i nieboszczyka poturbowali. Nie inaczej rzecz się miała i we Wiedniu. Tutaj studenci wałęsali się po ulicach na kształt dzikich zwierząt, napadali na ludzi, mordowali, ranili, członki obcinali, samowolnie też wpadali do winnic, obierali jagody, lub do ogrodów i brali z nich owoce w wielkich ilościach.

Ale już chyba nigdzie nie mieli studenci takiej przewagi, co w Anglii w w. XII i XIV. W Olksfordzie prowadzili oni wprost walki z mieszkańcami. Nieraz krew lała się strumieniami. Słynną była walka z r. 1264. Było to w czasie walk baro-



nów z królem Edwardem. Mieszczanie obawiając się oblężenia, trzymali bramy zamknięte, nie wolno było nikomu wychodzić z miasta poza bramy. Ale kilku studentów nie zważając na zakazy, wyłamało bramy i udało się na zwykłe zabawy, na łąki Beaumont. Władze miejskie uwięziły ich za to. Było to właśnie w czasie obiadu. Na sygnał dany przez dzwonek, wszyscy studenci zerwali się od obiadu, runęli na mieszczan, prowadzących kolegów do więzienia i w krwawej bitwie najzupełniej ich pokonali. Wypędzeni za to z miasta przez króla, z bronią w ręku ruszyli do baronów i w ich szeregach pod własną chorągwią walczyli z królem. W 90 lat później zemścili się mieszczanie. Z powodu jakiegoś sporu, znowu przyszło do walki między nimi a studentami. Ale tym razem mieszczanie odnieśli zwycięstwo. Sześciu studentów padło trupem, 21 ciężko zostało rannych, wielu dostało się do niewoli. Pofolgowali też mieszczanie swej nienawiści do studentów, albowiem rzucili się na domy uniwersyteckie i 14 z nich do szczętu zburzyli. Reszta studentów z profesorami na czele opuściła miasto i nie prędzej wrócili, aż otrzymali odszkodowanie w kwocie 250 funtów szterlingów i wynagrodzenie szkód poniesionych. Biskup Lincoln, kanclerz uniwersytetu, rzucił nawet interdykt na miasto.

Jeżeli więc porównamy to, co się działo u nas, ze stosunkami zagranicznymi, to widzimy, jak wielkie były różnice. Powstawały i u nas zwady i bójki między studentami a mieszczanami, ale nie miały one ogólniejszej natury. Największą burdą, to był

ten wypadek ze służbą Czarnkowskiego. Dopiero później, już w dwu następnych wiekach, przychodzi ustawicznie do wielkich burd studenckich, skierowanych przez nietolerancję religijną już to przeciw Żydom, czy dyssydentom, już też nawet przychodzi do formalnych walk z milicją miejską, która często sama nie może im poradzić. W XV i XVI wieku jeszcze tego nie było. Dlaczego? czy uczniowie byli lepsi, czy też profesorzy umieli lepiej młodzież prowadzić? Boć nawet ta bójka z czeladzią ks. Czarnkowskiego, nie jest pozbawiona pewnego szlachetnego charakteru — czeladź występuje w obronie kobiety lekkich obyczajów.



Studenci podczas zabawy (karta tytułowa farsy Hansa Folza, wyd. w Norymberdze, około r. 1480).

## VII. KILKA SZCZEGÓŁÓW O MORALNOŚCI

Bursy założone z początku w celu ulżenia biednym, z biegiem czasu służyły jako środek do powstrzymania między młodzieżą rozpusty, miały na celu więcej moralność niż ubóstwo. Stało się to wtedy, gdy burs było tak wiele, że wszystkich prawie studentów mogły pomieścić.

Zamiast jednak moralności i cnoty stawały się nieraz przytułkiem rozpusty, kradzieży itd. Kradzieże bowiem dość często w bursach się powtarzały, a to tem bardziej, że mieszkania w bursach były tego rodzaju, iż wejście do nich można sobie było nożem otworzyć i wchodzić do nich o każdej porze. Nic też dziwnego, że czasem to z tej, to z owej 'komory' znikaly książki, znikaly szaty, aż je wreszcie znajdowano na tandecie u żyda. Kradzieże często powtarzające się w bursach, były nawet powodem utworzenia osobnego paragrafu w ustawach bursalnych pt. *O kradzieży (De furto)*. Uregulowano mianowicie sprawę w ten sposób. Jeżeli w komorze zamieszkałej przez kilku studentów zniknęły rzeczy kogoś, a nie było na nikogo jasnego dowodu, a tylko lekkie podejrzenie na współmieszkańców, w takim razie rozdzielano stratę na wszystkich mieszkańców owej 'komory', nie wyjmując nawet poszkodowanego. Szacowano rzecz skradzioną, a następnie każdy z nich część przypadającą na siebie miał poszkodowanemu zapłacić. Ustawa ta została wydana w r. 1494.

Takie kradzieże zresztą mogli popełniać niekoniecznie sami studenci, ale także rozmaite 'wagusy', którzy jakimś sposobem potrafili się dostać do bursy, czasem nawet na stałe mieszkanie. Mieli też prowizorowie od r. 1495 poleczone, by przynajmniej raz na pół roku przeglądali bursę i takich przybłędów, jeżeliby się znaleźli, wypędzali. Skąd się oni w bursie brali? Zdaje się, że seniorowie nie przestrzegali zbyt ściśle przepisów i przyjmowali nie tylko tego, który się wykazał, że jest wpisany do metryki uniwersyteckiej, ale także i innych, nie mających tego poświadczenia, byle tylko dali dobre 'poczęsne'. Tak więc pod firmą uczniów uniwersytetu mieszkali w bursach ludzie, nie mający z uniwersytetem nic wspólnego. Że zaś na takich przybłędów w bursach rekrutowali się ludzie najgorszej kondycji, ludzie bez utrzymania, którzy posługując się nazwą studentów chcieli wyłgiwać publiczność, przeto nie mogli oni wpływać moralnie na żyjącą razem z nimi młodzież.

Zdarzały się w bursach i inne rodzaje niemoralności. Studenci bowiem, aczkolwiek ustawy wzbierały, zawsze znaleźli sposobność wydostania się w nocy z bursy, często może nawet z wiedzą i współudziałem seniora. Celem takich nocnych wycieczek były szynki, piwnice, i inne przytułki rozpusty.

Słusznie nazywano wówczas pijaństwo 'studnicą wszelkiego złego', bo rzeczywiście z niego pochodzi wszystko złe. Gra namiętna w karty, rozpusta są pośredniem następstwem pijaństwa. Jeżeli jednak kiedy, to w wiekach średnich, gdy tyle

było wszędzie szynków i piwnic z napojami, rozwielmożniło się ono ogromnie. Występował przeciw niemu Jan Kanty, wołając: „Karczmarze... są gwałtownikami Boga, w karczmach dokonują się zabójstwa tak duchowe, jak cielesne. Karczmy dane nam są ku potrzebie jako gospody nie gwoli ćwiczenia się w żarłocztwie, w wyzysku i chciwości“.

Pomimo, że za uczęszczanie do szynków czekała studentów surowa kara, przecież nie dbali oni o to, ale ustawicznie wałęsali się po nocy.

Nie inaczej zresztą było i za granicą. W Czechach dochowała się nawet z tych czasów pieśń pijacka studentów. Oto jak brzmi ona w urywku:

In tabernis quando sumus,  
Non curamus, quid sit humus:  
Ibi nullus timet mortem,  
Sed pro Baccho mittunt sortem etc.

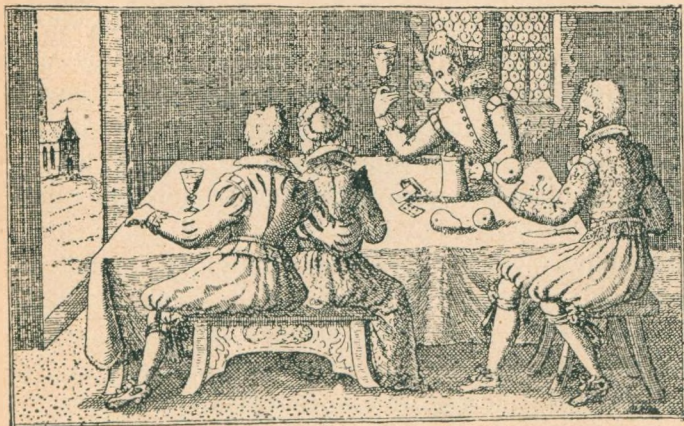
W szynkach często przychodzi do zwad i to tak między samymi studentami jak i innymi gośćmi. Nigdy też studenci do szynków nie przychodzą bez broni. Nieraz pachołkowie miejscy z powodu takich burd zabierają z ich szynku wprost do miejskiego więzienia.

Uczęszczanie do szynków było surowo przez uniwersytet wzbronione. Dlatego też, jeżeli przyszło w szynku do jakiejś walki i poszkodowani wnieśli skargę przed rektora, to ten karał nie tylko samych winowajców, ale wszystkich razem, zarówno skarżących, jak i oskarżycieli, za nieprzestrzeganie ustawy.

Zwady studentów w szynkach powstawały za zwyczaj przy grze w karty. Daremnemi bowiem

były zakazy uniwersytetu. Zawsze spotykamy po szynkach studentów, grających w karty lub kostki. Pewien student, niejaki Maciej z Piotrkowa, mieszkający przy szkole św. Anny, był tak zapalonym graczem, że zapominał zupełnie o nauce, o swoich obowiązkach; gra w karty lub kostki stanowiła nawet prawie jedyny jego dochód, z którego się utrzymywał. Rektor dowiedziawszy się o tem, wezwał go przed siebie i skazał na karę 1 florena. Upominał go przytem gorąco, by zaprzestał gry, a pilniej oddawał się nauce. Gdyby go powtórnie schwytano na kartach, zagroził mu karą 10 flor.

Z początkiem XVI w. mieli studenci osobną winiarnię, do której uczęszczali. Była to winiarnia Jana Medyka. Znajdowała się ona tuż przy rozmaitych kolegjach i bursach, bo na ulicy Wiślniej, na-



Studenci na zalotach (miedzioryt z *Rollsa Vita Corneliana* 1610).

przeciw bursy ubogich. Pod winiarnią była piwnica; tu też najczęściej spotykamy studentów.

Ciekawą jest osoba samego winiarza. Ciągłe ma on jakieś sprawy ze studentami, już to o borgi już też o pobicie. Szczególniej zaś uczęszczaną była jego winiarnia przez Węgrów. Nie dobrzy to jednak goście, nie chcą mu bowiem płacić za to, co wypili. Medyk chcąc ich zmusić do zapłacenia, radził sobie, jak mógł. Razu pewnego wypisał sobie nazwiska dłużników na kilku kartach i poprzybijał je na rozmaitych kościolach, między innymi i na murze kościoła św. Franciszka, gdzie Węgrzy mieli swoją kaplicę. Mikołaj, przełożony kaplicy zerwał owe karty i potargał. Medyk zaskarżył go o to przed rektora, ale przegrał sprawę, bo rektor rozsądził, że Medykowi wolno przybijać takie kartki tylko na drzwiach kościoła, nie zaś na murze.

Razem z bursakami węgierskimi uczęszczał także do piwnicy Medyka i sam senior bursy węgierskiej. I on pił na kredyt, a Medyk chętnie dawał, wiedząc, że mu pieniądze nie przepadną, bo w danym razie zawsze otwartą miał drogę do rektora, a tego zapewne obawiał się zarówno sam senior, jak i bursacy; aczkolwiek bowiem lekceważyli sobie przepisy uniwersyteckie, przecież nie byłoby im miłym, gdyby się sprawa o uczęszczaniu do szynku wydała. Leżało zresztą w interesie samego Medyka jak najrzadziej udawać się ze sprawami do rektora, by przypadkiem nie obostrzono przepisów 'o uczęszczaniu do miejsc zakazanych', wielkąby to bowiem była dlań stratą, skoro głównie uniwersytet dostar-

czał mu zarobku. Jednakowoż czasem musiał szukać interwencji rektorskiej, zwłaszcza jeżeli suma była poważniejszą. Raz nawet był zmuszony zaskarżyć samego seniora bursy węgierskiej, Piotra z Waraždynu. Ten bowiem przyszedł do winiarni z kilku studentami, którzy nie mieli pieniędzy; Medyk zaś na słowo nic im dać nie chciał. „Panie Janie, rzecze wtedy senior, zaręczam ci, że nie poniesiesz szkody ze strony tych Węgrów; sami ci bowiem wszystko zapłacą“. Na takie poręczenie, nie miał się co dłużej Medyk namyślać, dał, czego żądano. Tymczasem dzień za dniem upływał, a nietylko studenci nie myśleli o zapłaceniu długu, ale i senior swego nie płacił. Zaskarżył go więc przed rektorem. Senior przyznał się do swego długu w kwocie 3 flor., ale przeczył stanowczo, by miał ręczyć za innych studentów. Ostatecznie musiał mu jednak Medyk udowodnić, skoro zapłacił mu nie 3 ale 4 flor.

Przez siedemnaście lat spotykamy się z Medykiem jako szynkarzem studenckim w aktach rektorskich. Stosunki jego z Węgrami poczynają przy końcu przybierać coraz to groźniejszy charakter. Dochodzi wreszcie do tego, że zostaje przez nich ciężko poraniony. Jak się to stało i gdzie? Czy w jego własnym szynku, czy też gdzieindziej uknuli nań zasadzkę? Nie wiadomo. Dosyć, że wkroczył w tę sprawę urząd radziecki, który w czasie bójki uwięził studentów i osadził w więzieniu na ratuszu. Było ich dwu, Andrzej z Apatu i Michał z Temeszwaru. Za uwięzionymi wstawili się u rektora ich przyjaciele i koledzy, a mianowicie senior bursy węgier-



skiej i kilku studentów. Zaręczyli oni za uwięzionych, że pogodzą się przyjacielsko z Medykiem, że mu wynagrodzą stratę i krzywdę, a nadto, skoro tylko wyjdą z więzienia, nie będą się nigdy mścić na Medyku pod karą 300 dukatów. Stało się to dnia 13 lipca. Dzięki temu obydwaj winowajcy już w 12 dni po poręczeniu opuścili mury więzienne i razem z Medykiem stanęli przed sądem rektorskim, aby wypełnić zobowiązania, które za nich przyjęli ich poręczyciele. Zawarli też ze sobą zgodę tak, że żadna strona nie powinna wspominać o krzywdach, ani też wyrzucać ich sobie, ani chełpić się z zadanych krzywd pod karą 600 flor. Połowa tej kary miała przypaść rektorowi, połowa stronie dotrzymującej zgody.

Jednakowoż już do dawnej zażyłości z Węgrami nie przyszło. Dlaczego? Czy wszyscy Węgrzy, a może i inni studenci obrażeni na winiarza, że kolegów ich wsadził do więzienia ratusznego poprzysięgli sobie nie chodzić do jego szynku? Czy może podobny zakaz wyszedł od uniwersytetu? Czy też z powodu ustawicznych awantur magistrat zabronił mu prowadzić handlu w tem miejscu, tuż obok burs i kolegów? Nie wiadomo. Dość, że w tym roku 1534, w sierpniu, po raz ostatni ukazuje się nam sylwetka studenckiego winiarza i jego piwnicy.

„Pijaństwo jest studnicą wszelkiego złego“, ono też prowadziło studentów w rozmaite miejsca zakazane. Kobiet nie wolno było wprowadzać do bursy, tego zaś, któryby sam z własnej inicjatywy, bądź też nakłoniony przez kogoś innego poszedł do domu,

w którym *suspectae mulieres morantur* czekało wyężdzenie z bursy 'bez żadnej litości'. Jednakowoż w praktyce przecież się kierowano tą litością, bo chociaż znajdujemy studentów oskarżonych nietylko o przebywanie 'w miejscu publicznem i nieuczciwem', ale nawet oskażonych o rozmaite gwałty, jakich się tam dopuszczali, przecież nie spotkało ich za to wykluczenie, ale tylko zwykła kara pieniężna.

Wzbronionem było wprowadzać do burs czy szkół podejrzone kobiety, a przecież się z nimi tam spotykamy. Wprowadzają je zaś sami seniorowie bursy, lub kierownicy szkół.

W r. 1515 oskarżony jest o wprowadzenie kobiety do bursy węgierskiej niejaki Stefan, zaś w czte-



Serenada studencka. Pod oknem, z którego wychyla się przysłuchująca się dama, grają studenci na spinecie, skrzypcach, basie i mandolinie. Jeden przyświeca ochodnią. Na tylnym planie straż miejska, która zbliża się z pałkami by ich rozpedzić (*Speculum*, Paryż 1612).

ry lata później spotykamy przed sądem rektorskim Jakóba z Iłży, seniora bursy filozofów. Sprowadził on sobie powszechnie znaną Jadwigę, sprawił jej wieczerzę, po wieczerzy jeszcze widzieli ją studenci przez okno u seniora, jak siedziała przy kominku. Dopiero na drugi dzień rano przed śniadaniem opuściła bursę. Jakkolwiek wszyscy prawie studenci świadczą przeciw seniorowi, przecież nie wiele mu ta sprawa zdaje się zaszkodziła. Uniwersytet pomimo zgorszenia uznał go godnym kierowania moralnością studentów, i w 6 lat potem widzimy go znowu seniorem bursy ubogich.

Zupełnie inaczej studenci zachowali się w podobnym wypadku, jaki się zdarzył na Kazimierzu, przy szkole Bożego Ciała. Proboszcz kościoła św. Leonarda Stanisław zaskarżył kierownika owej szkoły Jana, że się włóczy z podejrzaną kobietą, niejaką Błażkówną i że ją nawet raz przez okno do bursy wciągnął. Sam to na własne oczy widział. Sześciu studentów, jako świadków powołano do tej sprawy. Wszyscy świadczą na korzyść swego przełożonego, winę przyjmują na siebie, drwiąc sobie potrochu z poczciwego proboszcza.

Oto jak tłumaczą oni sprawę. „Posłaliśmy“ mówią „jednego z kolegów po piwo do miasta. Tymczasem rektor bramę zamknął. Co robić? Jeżeli przez bramę wejdzie, to nietylko poniesie karę za wałęsanie się, ale nadto i piwo rektor odbierze. Jedyna rada wciągnąć go oknem, by kary nie poniósł i piwa nie stracił. Wciągnięto go więc oknem i to zapewne widział proboszcz od św. Leonarda,

który się jeszcze w tych stronach przechadzał, wciąganie oknem studenta, wziął za wciąganie kobiety“.

Studenci drwiąc przytaczali przytem niektóre słowa, które rzekomo miał proboszcz wtedy do nich powiedzieć: „Ciągnijcie dobrze tę niewiastę, panowie studenci, a wpuście i mnie do siebie, będę wam szynkował“. Na to mu jeden z nich odpowiedział: „Dajcie księżu 1/2 grosza na napitek“. „Dam i 6 groszy, tylko wpuście mnie i pozwólcie ze sobą triumfować“. Kierownika szkoły zwano Łyskiem albo Subtilką, proboszcz zwał się Srollą.

Jak się sprawa skończyła i czy kierownik był winnym przestępstwa, nie będziemy śledzić. Ciągnie się ona dość długo. Kierownik Łysek zaskarżył nawet Srollę przed biskupem, ale oburzył się za to nań uniwersytet, rektor zapozwał go przed siebie i skazał na zapłacenie kary 10 grzywien.

Nam zresztą na jednostce, na osobistości rektora Jana, na jego winie lub niewinności bynajmniej nie zależy. Sam akt, sama skarga świadczy, że to wszystko się działo, że seniorowie, że kierownicy szkół, którzy powinni świecić młodzieży w cnotcie i uczciwości, świecili jej nieraz w rozpuście — byli kierownikami i przewodnikami we wszystkim, co się z moralnością nie stykało.

Pomimo takich przewodników, przecież młodzież sama żyje wcale moralnie. Zdarzają się wprawdzie wyjątki — w aktach rektorskich czytamy i o studentach zachowujących się niemoralnie, o uczęszczaniu do domów rozpusty. Ale zawsze potrafią się ze wszystkiego wytłumaczyć, uniewinnić.

Kierownik szkoły przy szpitalu św. Ducha, Leonard zaskarżył studenta Jana z Kościan o nieuczciwą znajomość z żoną pewnego kramarza imieniem Michała, że ją tak usidłał, iż ta pozwoliła mu zabrać wiele rzeczy bez wiedzy męża, a nawet ma zamiar uciec z nią gdzieś na koniec świata. Rzecz to straszna dla studenta, gotów nie zostać bakałarzem, skoro podejrzani o niemoralne życie, a tembardziej tacy, którym je udowodniono, z trudnością tylko mogli być przypuszczeni do promocji. A tu Leonard jeszcze straszy, że wnet całą tę sprawę obszernie na piśmie przedstawi. Bez namysłu też student zaprzeczył słowom Leonarda, nazwał je zwykłym kłamstwem. Ale Leonard oburzony odgraża się, że mu to wszystko na przyszłym terminie udowodni i prosi rektora, by Jana nie puszczał na wolną stopę bez dobrej poręki, bo gotów tymczasem uciec. Rektor zgodził się na przedstawienie Leonarda i zażądał od Jana poręczycieli. Znalazł ich Jan i to wcale godnych, bo poręczył za niego sam senior bursy ubogich Stanisław Biel, i trzech jego rodaków z Kościan. Ciekawość naprężona, co też jeszcze ów Leonard przytoczy na potępienie studenta, jak będzie wyglądało to obszerne opisanie całej sprawy. Lecz daremne czekanie. Na terminie bowiem nie stanął... Leonard. Jan został od skargi uwolniony, ale nie dosyć na tem. Teraz skarżący stał się z kolei rzeczy oskarżonym o oszczerstwo. Ciekawi jesteśmy wyniku tej rozprawy, lecz do długiej jesteśmy zmuszeni cierpliwości. Do rozprawy jakoś przyjść nie może. I nie dziwnego. Jakżeż skazać

kierownika szkoły przeciw zwykłemu studentowi? Rektor przedłużył więc terminy, odracza je w niekończoność, spodziewając się, że jakoś tę sprawę da się załagodzić, może strony o niej zapomną, może da się załatwić bez rozgłosu i wstydu dla Leonarda. W końcu zniecierpliwiony zastępca Jana otwarcie zażądał rozprawy najdalej do ośmiu dni. Czternastego grudnia 1489 r. przyszło wreszcie do rozprawy (sprawa ta poczęła się 4 listopada br.) i tutaj Leonard musiał wszystko bardzo pięknie odwołać, co „z powodu pewnego podejrzenia błahego przeciw Janowi powiedział, że zgoła o Janie nic złego nie wie, lecz tylko, że jest dobrym i świątym człowiekiem“. Wobec tak jawnego odwołania, musiał rektor wszelkie podejrzenie, jakie ciążyło



Student w karcerze (miedzioryt z r. ok. 1750, Muzeum germańskie w Norymberdze).

na Janie, usunąć i zanotować to w aktach, by mu w przyszłości nie było przeszkodą.

Młodzież na naszym uniwersytecie w tych czasach jeszcze zachowywała się bardzo uczciwie i moralnie. Te drobne wybryki młodzieńcze, jakie spotykamy w niej, można spotkać i zawsze i wszędzie u młodych. Były to tylko zwykłe wybryki młodzieńcze, nie rozpusta na wielką skalę, jaką spotykamy zagranicą. W Paryżu zepsucie młodzieży doszło do tego stopnia, że w r. 1471 uniwersytet postanowił „by naczelnicy kolegów co wieczór zgromadzali młodzież i przeglądali kogo brakuje, by przeglądali mieszkania nieobecnych, a ich samych bez względu na to czy to są zwykli studenci, czy nawet bakałarze, za nieobecność chłostą karali“. Co więcej, bursy tutaj już wnet po ich założeniu stały się przytułkami rozpusty. Jak powiada Muczkowski „w domu gdzie na pierwszym piętrze nauczyciele kolegia wykładali, na dole krewkość niewieścia miała schronienie, skąd niekiedy rozlegające się po gmachu krzyki i kłótnie, nauczających i słuchaczy gorszyły i głużyły“. I nic dziwnego. Mamy tu bowiem do czynienia z rozpustnym Paryżem, gdzie publiczne niewiasty zupełnie spokojnie i bezczelnie napastowały przechodzących przez place i ulice studentów kleryków, prawie gwałtem ciągnąc do swoich mieszkań. A gdyby który nie chciał z nimi się udać, natychmiast go sodomitą nazywały. Nic dziwnego, bo były to czasy, kiedy publiczne niewiasty zażywały wcale znacznego poszanowania, nawet u wielkich osobistości.

## VIII. UPADEK UNIWERSYTETU

Wiek piętnasty i pierwsze lata szesnastego, to okres największej chwały i rozkwitu uniwersytetu krakowskiego. Odrodzone przez Władysława Jagiełłę i zreorganizowane dzieło Kazimierza Wielkiego rychło zwróciło na siebie uwagę chciwej wiedzy ówczesnej 'młodej' Europy, i nie szczędząc kosztów ni trudów ze Śląska, Pomorza, Niemiec, Węgier i Czech, a nawet z nad Renu i dalekiej Szwajcarii poczęły ciągnąć do podwawelskiego grodu liczne zastępy dzielnej młodzieży.

We wszechnicy, pełnego sił, rozkwitłego i rozbujającego polityczną potęgę narodu, uczono się i uczono z zapałem, nawet w suche i nudne formuły skostniałego scholastycyzmu przelewając nowe, jakby odrodzone życie. A kiedy scholastyczny staruszek na uwiad starczy chorować począł, nowy kierunek, wypiełgnowany na Południu i Zachodzie, humanizm, rozpoczął z nim skuteczną walkę, by stare hasła i siły nowemi zastąpić.

I właśnie w okresie tej walki i pod jej wpływem, na przełomie XVI wieku do szczytu świetności dochodzi uniwersytet. Obydwa kierunki mają znakomitych przedstawicieli. Zwolennicy nowej szkoły dzielną znajdują podporę w przechwalonej sławie Konrada Celtisa i z dalekiego Południa przybyłym Kallimachu lub stamtąd sprowadzonych: Bolończyku Constanzo Claretti de Cancellieri i Sycylińczyku Janie Sylwiuszu (*Amatus*); a prócz nich rodzime siły rozgłaszają sprawę polskich profesorów jako niezrównanych astronomów i znakomitych humanistów.



Zagrożeni scholastycy ostatniej dobywają mocy.

W r. 1518, w metrykę naszej *Alma mater* wpiisał swoje nazwisko Leonard Coxe, Anglik, 'poeta laureatus', który ukończywszy studja w angielskich uniwersytetach, ruszył w naukową podróż na ląd, zwiedzając Francję, Niemcy, Polskę i Węgry. Kraków i uniwersytet krakowski wywarł na nim ogromne wrażenie, a wyrazem tego była słynna mowa, którą ogłosił drukiem pt. *De laudibus celeberrimae Cracoviensis Academiae*.

Przechodzi on w niej po kolei reprezentantów wszelkich gałęzi wiedzy: filozofji, medycyny, humaniorów, poezji i teologji; polskich i obcych profesorów wynosi pod niebiosa, a ponad wszystkie błyszczy nazwisko Wacława z Hirschberga, lekarza tak biegłego, że nawet przyroda przed nim niczego ukryć nie zdoła, a nadto lubującego się w studjach nad językiem łacińskim, greckim i hebrajskim, co mu przydomek 'trilinguis' zjednało. Wychwala Macieja z Miechowa, znakomitego historyka i nie mniej znakomitego lekarza, tem górującego ponad innymi, że więcej był lekarzem duszy, niż ciała. Sławi również poetów, jak Pawła z Krosna i Krzyckiego, dalej prawników i różnych matematyków i astronomów, nie pomijając prawie żadnej wybitniejszej postaci, nie szczędzi pochlebstw nawet zwolennikom scholastyizmu, chociaż ze szczególnem ciepłem wyraża się o humanistach i poetach.

Nie ulega wątpliwości, że w pochwałach tych Coxus trochę przesadził, skoro pragnął grono pozyskać dla swoich celów, ażeby jako syn naszej

*Almae mairis* mógł wrócić do swoich Brytanów, mowa tego cudzoziemca pozostanie na zawsze znakomitem świadectwem dla świetnego rozwoju uniwersytetu i wzrostu humanizmu w szczególności.

Ale był to już punkt kulminacyjny, poza który przestąpić nie miano.

Humanizm prawie zwycięzki, nagle począł szybko upadać, aż opuścił zupełnie mury uniwersyteckie, wśród których niepodzielnie zapanował średniowieczny, scholastyczny szablon. Za wcześnie chwalił się Konstanty Claretti de Cancellieri, kiedy w liście do Alda Manutiusa pisał te chełpliwe słowa: *tale hic fundamentum in graecis litteris stabilivi, ut huius institutionis memoria longo tempore sit duratura*: „Studja nad literaturą grecką na tak silnych podwalinach oparłem, że pamięć tego dzieła długie wieki przetrwa“. Co prawda kulturą humanistyczną przejęła się cała nasza arystokracja ducha z XVI wieku, przejęli się magnaci i możne mieszczaństwo, bramy jednak uniwersytetu pozostały dlań na zawsze zamknięte; wyszło to zaś na wielką jego szkodę i całego społeczeństwa, skoro ze sławnej wszechnicy w krótkim czasie gwałtownie zniżył się do rzędu jakiejś kastowej, wyznaniowej szkoły. Widziano złą i nawet próbowano mu zaradzić, sprowadzając profesorów ożywionych wyższymi ideami z zagranicy, którzyby zatęchłe średniowieczną w naszej akademji powietrze świeższymi prądami oczyścili — daremnie. Niedługo się pokazało, że obniżenie naukowego poziomu uniwersytetu fatalnie oddziaływa na obniżenie się moralności wśród profesorów i uczniów.

Mamy kilka głosów narzekających na upadek wszechnicy w tych czasach, żaden przecież tak dosadnie go nie maluje, nie przedstawia w tak czarnych barwach, jak mowa pewnego rektora, wygłoszona przy obejmowaniu urzędu.

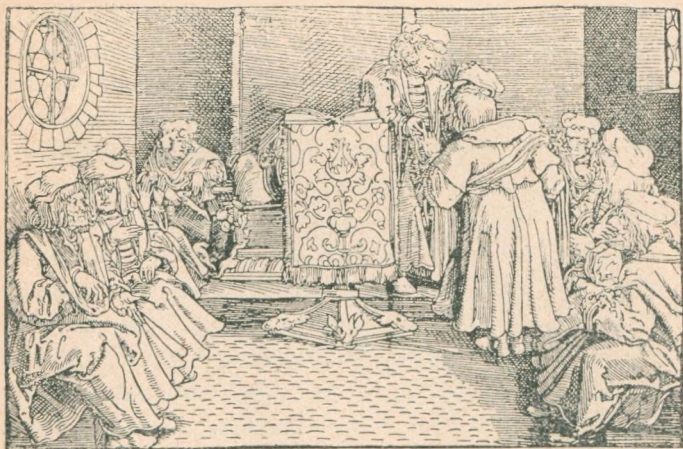
Walenty Fontan pochodził z bardzo ubogiego rodu, tak dalece, że jako student posługiwał w kolegium mniejszem mistrzowi Wędrogowskiemu. W r. 1575 otrzymał doktorat medycyny, został profesorem na uniwersytecie i jako najlepszy matematyk, fizyk i astrolog w roku 1587, po śmierci Piotra Słowakowicza został *astrologus civitatis*, za co kwartalnie pobierał po 2 grzywny i 24 grosze. Praktyka lekarska przynosiła mu bardzo wiele, dlatego stał się zamożnym, kupował sobie domy, a w r. 1611 odnowił kościółek św. Wojciecha, gdzie też spoczywają jego i rodziny zwłoki. Kilkakrotnie wybierano go na dziekana wydziału filozoficznego, kilkakrotnie na rektora, chociaż nie bardzo był lubianym dla niezwyklej surowości, a może i zarozumiałości. Toć złośliwa ręka przy notatce o otrzymaniu doktoratu umieściła uwagę: *medicus, collega maior, se ipso maior* (Medyk, kolega większy, od siebie samego większy).

Po raz pierwszy rektorował w roku 1597. Do tego to czasu zapewne odnosi się jego mowa rektorska. W podobnych przemówieniach zwykło się wychwalać nawet to, co nie zasługuje na pochwałę; wielkiej więc potrzeba było odwagi z jego strony i wielkiem musiało być zło, że śmiało bez ogródek piętnował wady i nadużycia.

Czuje się niegodnym tak wielkiego zaszczytu, że z pośród tylu godniejszych właśnie jego, najmłodszego w gronie od pieczy nad chorymi do rządzenia akademią powołano. A ciężkie to rządy, bo ciężką chorobą nawiedzona, leczyć ją potrzeba. Gdybyż przynajmniej owa sztuka, którą choroby ciała leczy i w leczeniu dusz mogła być skuteczną! Ale jakżeż mierzyć się jemu z tylu lekarzami dusz na uniwersytecie, tylu księżmi i duchownymi!

I jakież to są choroby, które niszczą organizm najwyższej szkoły?

Odnosi je do profesorów i do uczniów. Żalem go przejmuję myśl, że już nie ma podobnych ludzi jak Stanisław Sokołowski, jak pracowity Jakób



Promocja doktorska. Kandydat wygłasza przysięgę, profesor nakłada mu kapelusz doktorski na głowę i pierścień na rękę. W okółto siedzą inni profesowie (sztych H. Burgkmaira w Petrarki *Trostspiegel*, Frankfurt n. Menem 1620).

Górski, prawdomówny Wędrogowski, nieskazitelny Grzebski, serdeczny Maciej Lwowczyk lub hojny Kurzelowski, którzy *nie nienawiść, nie zazdrość lub bezwstyd*, ale najszczytniejsze cnoty w sercach młodzieży zasiewali. Wszyscy pracowali gorąco. „Jeszcze teraz, ilekroć na te miejsca spoglądam, zdaje mi się, że słyszę ich głosy i czuję ich pot. A dziś (niech przebaczą dobrzy, a źli do siebie te słowa odniosą) muszę zawołać z Luciliusem: do leżenia jesteśmy wprawieni, do chodu leniuchy. Obyczajem sybarytów ni wschodzącego, ni zachodzącego słońca nie oglądamy; jak towarzysze Ulissesa, gdzieby wschodziło i gdzie zachodziło, nie wiemy“.

Próżnując sami i młodzieży pozwalają próżnować, a nawet pochlebiają jej występkom. Niech młodzieniec najdrożniejszy występki popełni, zawsze znajdzie się usprawiedliwienie. Rozbija komu głowę, powiedzą: krewki młodzieniec; pije, nocne bachanalje urządza i gwałty: przebaczyć trzeba, bo młody. Wskutek tej nieszczęsnej pobłażliwości „młodzieź, ten kwiat naszego narodu i nadzieja przyszłości“, zamiast w akademji się nauce oddawać, po szynkach, domach gry i rozpusty siły swe marnuje i zdrowie. „O nieszczęsny wieku młodzieńczy, nie ma występków bez ciebie, ni zbrodni pomimo ciebie. Kto popełnił nierząd? — Młodzieź. Kto mord? — Młodzieź. Kto gwałt? — Młodzieź“. Ta młodzieź, dla zabezpieczenia której bytu tyle burs się założyło; i Borealną i Rzęczy, Poznańską i Biskupią, Kromerowską i Jagiellońską. Jak pijawka z matki akademji krew i soki wysysa, a wzamian za to przynosi jej tylko hańbę i wstyd!

Jakżeż inaczej było dawniej, kiedy świętym zapalem miłości nauki był każdy przejęty i tłumy młodzieży ochoczo do niej się garnęły, pracując na kształt pszczołek w ulu; jednych attyckie, innych rzymskie, a jeszcze innych nawet hebrajskie pociągały muzy. Wszyscy pracowali bez względu na stan i majątek. A teraz? „Kto powstrzyma, kto uciekających nawróci już nie do żelaznego, ale do naszego drewnianego wieku“!

I w ten sposób z ust Fontana płynie skarga za skargą, zarzut za zarzutem, grom za gromem, aż wreszcie jego samego obrzydzenie prawie porywa, a zarazem rozpacz i strach o tę *Alma mater*, którą tylko boska pomoc z toni wyrwać może i przeto z prośbą zwraca się do niebieskich potęg, a szczególnie do Marji Dziewicy, aby wróciły dawne dobre czasy, dawna uczciwość i zamiłowanie do nauki.

*Quod bonum, faustum fortunatumque sit...*

Doprawdy, że podobnej mowy inauguracyjnej, któraby była jednym pasmem najstraszniejszych wyrzutów wszystkim czynnikom szkolnym, któraby profesorom w twarz rzucała: „jesteśmy nieukami, demoralizatorami młodzieży i próżniaczymi sybarytami“, a młodzieży: „jesteście pijanicami, gwałtownikami i zbrodniarzami, ale nie uczniami“, nie wygłosił może nigdy żaden rektor na żadnym uniwersytecie.

Strasznemi musiały być stosunki, skoro jeden z najmłodszych profesorów odważył się w podobny sposób gromić starszych kolegów, świeckich i duchownych. Możliwe, że ściągnął na siebie ich nienawiść, ale nieposzlakowane życie, uczciwość i wy-

bitne zdolności jeszcze nieraz miały go powołać do przewodniczenia Akademji.

Od kiedyż nastąpił tak gwałtowny upadek i jakież mogą być jego przyczyny?

Datuje się on oddawna, bo już od r. 1530 napływ cudzoziemców ustaje, a w r. 1551 Szymon Maricius w swem znanem dziele, *De scholis seu Academiis* pisze, że wskutek bezmyślności możnych pańów, nie rozumiejących, że w ich interesie i państwa leży rozkwit zakładów naukowych, uniwersytet z dnia na dzień upada. Profesorowie są tak lichy płatni, że 40-tu taką otrzymuje płacę, jaką gdzieindziej jeden; a oprócz tego nie nauka i zdolności, ale starszeństwo rozstrzyga o powodzeniu.

Nie ulega wątpliwości, że przyczyny podane przez Mariciusa są bardzo ważne, ale przecież zauważyć trzeba, że podobną płacę i dawniej otrzymywali krakowscy profesorowie, a czemuż uniwersytet cieszył się sławą w całej Europie?

Przyczyną tego upadku przede wszystkim było to, że stał się szablonowym, że ponad ciasne średnio-wiecze wznieść się nie zdołał.

Humanizmu, który na Zachodzie doprowadził do rozkwitu uniwersytetów, ale i do reformacji, przelekniono się na naszym i dlatego wyrugowano go ze swych murów, zwłaszcza, że religijne nowinki i u nas poczęły się szerzyć. Duchowieństwo czuwało nad prawowiernością uniwersytetu i przesadną czujnością przestrzegało, by żadna wolniejsza myśl doń się nie wcisnęła, wskutek czego stał się ciasnym i zaśniedziałym, jak każda szkoła wyznaniowa, a młodzież stała się nietolerancyjną.

Dawniej, kiedy uniwersytet szedł w szeregu uniwersytetów najwolnomyślniejszych, a profesorowie jego przemawiali w obronie władzy soborów, całe rzesze obcych ciągnęły do Krakowa, aby ujrzeć te sławy i od nich się czegoś nauczyć. Do wyznaniowego, nietolerancyjnego uniwersytetu nie podążył żaden Niemiec, a tem mniej Czech lub Węgier, nawet żaden możny pan polski, skoro prawie wszyscy byli różnowiercami, gorliwy zaś katolik wołał pójść do jezuickich kolegów.

Bo zresztą czegoż się można było nauczyć na ówczesnym uniwersytecie? Kilka scholastycznych formuł i *de lana caprina* prowadzić jałowe dysputy? Toć profesorowie ówcześni już za Mariciusa lekceważyli sobie wprost naukę. Wykłady ich odznaczały się niesłychaną powierzchownością i płytkością, rzucono się na wszystko bez zgłębienia żadnego przedmiotu. A złem jest, powiada Maricius: *że wielu profesorów w nadziei zysku lub z żądzy chwaty rozstrzeliwa swą naukę w rozlicznych dziedzinach, wykładach, które często do właściwego ich zawodu nie należą.*

Podobną szkołę, każdy, kto chciał się czegoś nauczyć, musiał pomijać. Pomijali ją przedewszystkiem wszyscy ówcześni różnowiercy, a do nich się zaliczała większa część wielkich rodów — i dążyli za granicę.

Gdybyśmy znali spisy uczniów wszystkich uniwersytetów zagranicznych, tobyśmy się przekonali, jak olbrzymia ilość naszej młodzi na obcych wszechnicach szukała wiedzy. Przekonalibyśmy się, że uniwersytety niegdyś nieznaczne, teraz ilością uczniów



i doborem profesorów przewyższały krakowski, że spadł on do rzędu najmniejszych i najgorszych.

Oto w roku 1557 w takim Frankfurcie nad Odrą, zapisuje się na tamtejszy protestancki uniwersytet z Polski, jakiś Maciej Proski, Piotr Ostroróg, Seweryn Wssyachowski, Piotr Przylepski, Aleksander Herbut z Międzyrzecza, Tomasz Krzemieniewski, Wojciech Obornicki, Jan Trzebuchowski, Walenty Kolucki, Wojciech Kościelski, Wawrzyniec Skarbek, Andrzej Kaczkowski, Jan Sierakowski, Mikołaj Latałski, Jan Roszkowski, Andrzej, Samuel, Marcin i Piotr Zborowscy, Mikołaj i Maciej Orzelscy, Piotr Mierzwiński, Jan i Marcin Leszyccy, Bartłomiej Libicki, Jan Rozrażewski, Balthazar Zacki, Łukasz Policki, Stanisław Kmita, Piotr i Bronisław Kurnatowscy i Jakób Wolański.

32 nazwisk samej szlachty zamożniejszej i możnych panów w jednym roku! A ileż nazwisk niemieckich z Gdańska, Torunia, Śląska i Prus! Najślawniejsze nazwiska polskie tu spotykamy; różnych Kościeleckich, Rysińskich z Wierzbna; Mielżyńskich, baronów Czarnkowskich, Stadnickich ze Żmigrodu i Dubiecka itd. Jeżeli czasem tu plebejskie nazwisko się zabłąka, to tylko chyba jako pedagoga jednego z możnych.

Jeszcze sławniejsze nazwiska spotykamy w kalwińskim Heidelbergu, bo Sapiehów, Leszczyńskich z Leszna, Potockich, Ossolińskich, Firlejów, Bonarów, Garajskich, Drohojowskich, Radziwiłłów etc.

A te uniwersytety umiały łechtać ambicję możnych. Toć godność rektorów we Frankfurcie powierzano tylko samym znakomitościom rodowym,

a zatem albo księciu panującemu, albo też któremuś z możniejszych uczniów. Z Polaków rody pruskich Czmów i panów na Czarnkowie, często piastowały tę godność. Naturalnie był to tylko urząd honorowy, nieraz piastowany przez kilkunastoletniego smarkacza, który z powodu małoletności nawet przysięgi złożyć nie mógł, obowiązki właściwe pełnił jeden z profesorów jako prorektor. Tego rodzaju zaszczyty dumą musiały napełniać młodego arystokratę, a ojca skłaniały do składania hojnych darów na rzecz uniwersytetu, któremu synalek przewodniczył jako honorowy rektor. Podobnie było i w Heidelbergu, gdzie elektor Palatynatu, lub inny książę, o ile jest zapisany na uniwersytet, przewodniczy uniwersytetowi. W r. 1603 niektórzy członkowie senatu koniecznie wybrać chcieli albo Radziwiłła, albo też innego możnego Polaka, Firleja, na rektora, większość jednak sprzeciwiła się temu, bo książę Radziwiłł nie zapisał się do metryki uniwersyteckiej, chociaż już od dawna przebywa w mieście „widocznie akademję uważa za niegodną tego zaszczytu“, a Firlej pochodzi z poza imperjum, z których to powodów żadnego dotąd Polaka ni Węgra nie obierano rektorem, a oprócz tego rodu Firlejów nie uważano za dość dostojny.

Tak więc na zagraniczne protestanckie uniwersytety po większej części uczęszczali nasi możni panowie, bo do krakowskiego chodzić nie mogli bez narażenia się na największe nieprzyjemności ze strony nietolerancyjnych kolegów. Bo jakichże uczniów miał Kraków? Przeważnie ubogą szlachtę i uboższych mieszczan, których nie stać było na wyjazd

w obczyznę. Zmuszona twardą koniecznością, zapisywała się młodzież na nudne wykłady, aby otrzymać stopień i kiedyś jakiś urząd lub prebendę duchowną, ale myśl jej nie mogła się przykuć do suchych formułek. Nie znajdując zadowolenia w nauce, skoro stary system dać jej go nie mógł, szukała upustu dla swej młodzieńczej krewkości i zapалу gdzieindziej, w bursach ulicznych, włączeniu się po szynkach i nienawiści do reformacji i jej reprezentantów, którą to nienawiścią musiała się przejąć na wykładach wyznaniowego uniwersytetu.

I odtąd to ustawicznie powtarzają się niestety owe przykre ekscesy sfanatyzowanej młodzieży, mordowanie protestantów, topienie żydów w Wiśle, rzućanie się na protestanckie pogrzeby, na cmentarze nawet... A poczyną się to właśnie mniej więcej od połowy XV wieku, czasu rozkładu i coraz gwałtowniejszego upadku krakowskiej wszechnicy.

Kogóż nie przejmą oburzeniem i wstydem owe ustawiczne napady na zbór protestancki, które tak długo powtarzała rozbestwiona młodzież, póki zupełnie zniszczonym nie został? Kogo nie przejmą wstrętem napady na cmentarzu, gdzie wywlekano z grobów nieboszczyków nieraz z przed lat kilku, stawiając ich do góry nogami, lżąc i sromocąc. Albo ów napad z r. 1578 na pogrzeb pewnej pani, „której ciało z trumny dobywszy, ze wszystkiego one niewstydliwie obnażywszy, okrutnie zraniwszy i porąbawszy, włączyli po mieście, aż na ostatek w Wisłę wrzuciwszy, utopili“.


Ale tego rodzaju występki usprawiedliwić było można jeszcze religijnym fanatyzmem. W następnych

1993-01-16

jednak wiekach, kiedy fanatyzm przygasł, lub raczej przycichł, bo nie miał przeciwko komu się zwracać, czytamy o pospolitych mordach i gwałceniach, o różbójniczych napadach, które nawet przeciw zarządowi miasta się zwracały.

Doprawdy, że do uniwersytetu, którego uczniowie tak strasznych nadużyć się dopuszczali, każdy ojciec pragnący szczęścia dla swoich dzieci, bał się synów posyłać. Cóż dziwnego, że rektor Fontan w swej mowie inauguracyjnej woła wzburzony: „Kto ukradł rzecz cudzą, niechaj idzie na szubienicę, kto cudzołóstwo popełnił, niech na koło będzie wpleciony, kto morderstwo, niech ginie...”

Ale wobec obojętności tylu ‘lekarzy dusz’ księży, sam Fontan ‘lekarz ciała’ nie wierzył w możliwość wyleczenia uniwersytetu z choroby, która już stała się chroniczną. Długo też trzeba było czekać na jego uzdrowienie, trzeba było przeprowadzić reformy od gruntu, szczególnie w systemie nauczania — dokonał zaś tego przecież ksiądz, ‘lekarz dusz’, jak się Fontan wyraża, choć zarazem późniejszy ‘obywatel’ Francji rewolucyjnej — Kołłątaj.



1.1. 05. 1999

2009-09-02

2011-04-27

2013-09-10

**S P I S R Z E C Z Y :**

	Str.
I. Mieszkania . . . . .	3
II. Ubiory i stroje . . . . .	39
III. Utrzymanie . . . . .	57
IV. Otrzęsiny z grubych obyczajów . . . . .	96
V. Zwady narodowościowe . . . . .	110
VI. Burdy uliczne . . . . .	123
VII. Kilka szczegółów o moralności . . . . .	136
VIII. Upadek Uniwersytetu . . . . .	149



1993-01-14

